Nr. 36. Kraków, Poniedziałek 26 Grudnia 1910. Rok I.

Ceny prenumeraty:
W Krakowie i na prowiucyi:
z odnoszeniem i. przesyłką pocztową
Kwartalnie . . . . K 1·80
Półrocznie . . . . K 3·50
Rocznie . . . . . K 6·—
W Niemczech i w innych Państwach Związku poczt:
Kwartalnie . . . . K 2·—

Rękopisów się nie zwraca.

GAZETA PONIEDZIAŁKOWA

wychodzi zawsze w Poniedziałek, o godzinie 6-tej rano.

Ceny ogłoszeń:
Ogłoszenia (inseraty) za 1 wiersz petitowy lub jego miejsce . . 20 h.
Nadesłane, wiersz petitowy lub jego miejsce . . . . . . 80 h.
Nekrologi za wiersz petitowy . 60 h
Doniesienia o ślubach zaręczynach itd wiadomości po 1 K za wiersz.
Drobne ogłoszenia za wyraz 6 h, najmniej 60 h.
Wyrazy grubszem pismem liczą się podwójnie.

Biura Redakcyi i Administracyi: Zielona 7, (Drukarnia A. Rippera) Nr. telefonu 510.

Do nabycia na dworcach kolej. i ajencyach dzienników w całym kraju. Cena numeru pojedynczego w Krakowie 10 h.

TREŚĆ NUMERU.

Niniejszy numer świąteczny „Gazety Poniedziałkowe“, obejmuje 32 strony druku **i ma 3 dodatki.**

Sytuacya polityczna w Austryi.

Specyalne wywiady „Gazety Poniedziałkowej“ z wybitnymi politykami.

Wobec ważności i doniosłości obecnego przesilenia politycznego w Wiedniu właśnie dla naszego kraju i wobec niejasności obecnej sytuacyi, wydawca i redaktor naszego pisma p. Zygm. Rosner udał się do Wiednia i tam odbył interwiewy z wybitnymi posłami wielu stronnictw parlamentu. Uzyskane przez niego odpowiedzi i informacye odzwierciedlają wiernie zapatrywania tych obozów politycznych na obecne przesilenie oraz ich przewidywania co do przyszłości. Zamieszczamy je w obszerniejszem streszczeniu, ażeby także Czytelnicy nasi w obecnem położeniu należycie zoryentować się mogli.

Przed pokojem ludów.

Były minister dr. Gessmann

prezes stronnictwa chrześć. socyalnego o sytuacyi.

Gabinet w gmachu Sejmu dolnoaustryackiego, kancelarya referenta szkolnego Sejmu tego kraju, umeblowana skromnie lecz w stylu modern, której okna wychodzą na Herren i Strauchgasse. Przy stole w stylu secesyjnym, zawalonym stosami akt, siedzi przywódca największej partyi parlamentu austryackiego, nazywany przez nią „organizatorem jej zwycięstw“; twórca ministerstwa robót publicznych, które według jego planów miało na nowo ożywić i zapłodnić najnowszą, bo techniczną gałąź wiedzy. Co chwila zjawia się jeden z podreferentów z jakim dokumentem, który wymaga podpisu, albo posłaniec z relacyą polityczną, którą natychmiast załatwić należy; co chwila odzywa się telefon. Każdy wstępujący w te progi czuje, że znajduje się tu w głównem ognisku życia politycznego, które przepływa tu stale a tak bardzo zagadkowo, że nawet tę potężną siłę pracy utrzymuje w ciągłem naprężeniu. Tylko w przerwach tego gorączkowego ruchu znaleźć można sposobność do zapytania się wodza potężnej partyi o jego zdanie co do politycznych kwestyi dnia.

Rozmowa nasza dotyczyła nasamprzód sprawy dymisyi gabinetu i wypadków, które po niej nastąpiły.

— Czy Ekscelencya zadowolona na razie z tego kroku rządu? — zapytałem.

— Zapewne! Szybkie bowiem załatwienie konieczności państwowych w Izbie poselskiej, oraz objawy, jakie załatwieniu temu towarzyszyły, uprawniają do pomyślnych wniosków co do przyszłości. Chwiejąca się chwilami i rozprzęgająca większość dla pozytywnej pracy, znów się silniej skojarzyła, a wobec tego także opozycya uznała za stosowne z pewnym pospiechem postarać się o to, ażeby dano jej możność ewentualnego współdziałania przy tworzeniu nowej większości pracy. Przedłużenie prowizoryum nowego regulaminu Izby świadczy przytem o silnej jej woli zapewnienia sobie zdolności do pracy na przyszłość — podczas gdy pokojowe oświadczenia z obozów narodowych nasuwają pewne nadzieje także co do ewentualnego rezultatu praskich rokowań czesko-niemieckich.

— Czy Ekscelencya sądzi, że do połowy stycznia powiedzie się wynaleźć tam drogę do zawarcia pokoju?

— Ażeby rozwiązć i załatwić kwestyę czesko-niemiecką w całej jej objętości — na to potrzeba dłuższego czasu; na to nie wystarczy nawet jedno lub dwuletnie prowizoryum. Obecnie rozchodzi się tylko o to, ażeby ująć w pewną konkretną i stałą formę owoce ostatnich rokowań jesiennych, które przecie ugodę czesko niemiecką wyjaśniły conajmniej w dwóch trzecich, dalej, ażeby na tej podstawie oprzeć niezbędne rozszerzenie zdolności do pracy Izby poselskiej.

— A więc już w styczniu?

— Dłuższe czekanie i odraczanie tej sprawy — na rok lub dwa lata, nie wytworzyłoby zapewne w Pradze korzystniejszej sytuacyi, w Wiedniu zaś mogłoby stworzyć położenie bardzo ryzykowne. W obecnych warunkach ani myśleć nie można o tem, ażeby parlament dokonał wielkich swoich zadań, przedewszystkiem żeby załatwił plan finansowy.

— A zatem narodowa „treuga dei“ zawarta w Pradze, ma Czechów pozyskać dla większości pracy w parlamencie?

— Ma ona wytworzyć w nim stan normalny i stały.

— Nadto zaś sparlamentaryzować rząd?

— Tylko całkowicie lub częściowo parlamentarny gabinet, w którym także Czesi uczestniczyć będą, zdoła przeprowadzić w parlamencie nowy plan finansowy. A bez przeprowadzenia tego planu nie będzie możliwa także sanacya finansów krajowych, uważana przez Niemców, Czechów i Polaków w pewnej mierze za niezbędną konieczność.

Święta.

Przeszły, minęły.

A pozostały tylko jadła wszelkiego rodzaju resztki, szkło potłuczone i niesmak i okopcony szkielet „Bożego drzewka“.

Pani domu robi rachunki.

— Jezus, Marya! Dwieście koron!

— Tak, tak, proszę pani szanownej, to trudno! Goście, stosunki towarzyskie, dwie szynki, krewni, Jadzia już dorosła i jest na wydaniu, a kiełbasy, a ciasta, a ryby, a to, a owo, wszystko kosztuje „ciężkie“ pieniądze. Przytem drożyzna mięsa, ryb, mąki, węgla, migdałów i innych rodzynków. To trudno, proszę pani!

— Jak ja styczeń połatam?! Rata tu, weksel tam... Chryste! A karnawał za pasem. Jadzia już dorosła....

* * *

Zbliżały się święta, oj, zbliżały....

— Mężu!

— Co moja duszko?

— Święta!

— Aha...

— Ty zawsze tylko: aha!

— No cóż?

— Święta trzeba sprawić; musi się święta sprawić. Czy ty nie wiesz, że masz córkę, dorastającą córkę, dorosłą córkę bez posagu!

— Aha...

— Ale ty o niczem nie wiesz! Nigdy! Po com ja wychodziła za mąż za takiego niedołęgę? — Pan Bóg mnie skarał! Życie mi zatrułeś! Gnębisz mnie na każdym kroku, o każdej porze. Gdziem ja nieszczęśliwa wtedy oczy miała, gdym zdecydowała się zostać twoją żoną?

— Aha! (westchnienie, czy ziewnięcie).

— Siedzisz w biurze, nic cię zresztą nie obchodzi, ani żona, ani dzieci, byleś tylko zjadł spokojnie śniadanie, obiad, podwieczorek i kolacyę. Roztyłeś się jak wół! A ja co? Gryzę się, martwię, spadam z ciała (pani domu waży sto kilo, a mówi jednym tchem): Czy ty nie wiesz, „monstrum“ jakieś, że masz córkę?!

— Aha...

— Znowu to twoje: aha, aha! Zresztą, co ja będę z tobą mówiła! Dawaj pieniądze! Święta!

— Aha... (wyjmuje zwitek dziesięciokoronówek).

— Co? Trzydzieści guldenów??!! Czy ty masz sumienie? Czy to ja jaka żebraczka, czy co? Z mieszczańskiej jestem i kamienicznej rodziny i za trzydzieści reńskich świąt u mnie nie sprawiali. Pęknę

— Czy wobec tego stronnictwo chrześciańsko socyalne weźmie udział w ewentualnej parlamentaryzacyi gabinetu?

— Żaden rząd nie może się w parlamencie obyć bez poparcia i współdziałania stronnictwa chrześciańsko-socyalnego. A jeżli stronnictwo to podejmie się takich obowiązków, musi sobie naturalnie zapewnić także odpowiedni wpływ na egzekutywę, tembardziej, gdyby inne partye odpowiedni wpływ uzyskały...

— Odpowiedni?

— Tak jest! Odpowiednio do stosunku sił w parlamencie, stronnictwo chrześciańsko-socyalne miałoby prawo do dwóch tek ministeryalnych.

— Z których jedną — Ekscelencyo! — zatrzyma zapewne eksc. dr. Weisskirchner.

— Nie o „jedną“ tu chodzi. Żądamy bowiem, ażeby, jeżeli mamy wziąć udział w utworzeniu gabinetu, Dr. Weisskirchner objął ponownie tekę ministra handlu, która wymaga ręki doświadczonej.

— A druga teka?

— O tem na razie nie warto mówić, ani o osobie, która wchodzi w rachubę, ani o resorcie, któryby w danym razie objęła. Gdy przyjdzie do sparlamentaryzowania gabinetu wystąpimy zawczasu z naszemi żądaniami.

— Lecz co się stanie, Ekscelencyo! — jeżeli w Pradze nie przyjdzie do zgody?

— W takim razie, jako najdogodniejsza droga wyjścia, nasuwałoby się utworzenie gabinetu urzędniczego, czego wprawdzie ze stanowiska państwowo-finansowego nie uważałbym za korzystne.

— A ewentualne „octroi“ — narzucenie ugody?

— I o tem mówi się już w obu obozach, tak niemieckim, jak i czeskim, że Korona na podstawie już osiągniętego w Pradze porozumienia mogłaby tę część kwestyi czeskiej samowładnie załatwić, tem bardziej, ponieważ, jak widzimy, reprezentanci parlamentarni obu stron nieraz boją się wprost przyjąć na siebie odpowiedzialność za zawarcie pokoju. Ze stanowiska konstytucyjnego atoli tego rodzaju załatwienie sprawy nie byłoby pożądane ani pocieszające.

— Czy napotkałoby to na poważne trudności ze strony parlamentu?

— Wierzę niemal, że toby nie nastąpiło. Po tylu pokojowych, wprost łaknących pokoju mowach, wygłoszonych w ostatnich dniach, nie należałoby się obawiać energicznego oporu przeciwko „octroi“. W każdym razie nie oporu praktycznego. To, co prawda, byłoby dla przedstawicielstwa ludowego conajmniej zawstydzającem.

— Lecz i „octroi“ doprowadziłaby w końcu do utworzenia gabinetu parlamentarnego?

— Pośrednio niezawodnie...

— Jakie zaś byłyby, zdaniem Ekscelencyi, zadania rządu parlamentarnego?

— Przedewszystkiem, jak już zaznaczyłem, zabezpieczenie państwowych źródeł dochodów włącznie z nowemi i ze szczególnem uwzględnieniem rozmaitej siły podatkowej ludności, dalej przeprowadzenie ustawy o ubezpieczeniu socyalnem, odnowienie parlamentarnego zmysłu ludności przez przywrócenie owocnej pracy parlamentu drogą złagodzenia sporów narodowościowych. Silne zespolenie się dotychczasowej większości wydało już dobre owoce, które wykazują wielką korzyść tego rodzaju zgodnego współpracownictwa. Tak np. chrześcijańsko-socyalni i narodowcy niemieccy działają w parlamencie już od lat trzech ramię przy ramieniu — to już przyczyniło się do wzmocnienia niemieckiej solidarności, do nadania jej takiej ścisłości, jakiej przedtem nigdy nie posiadała. Taksamo przedstawia się dziś stosunek Polaków do Niemców. Jednocząca siła faktycznego współpracownictwa jest większą, niż siła teoretycznych rozumowań. Pokaże się to i uwydatni także, gdy i czeskie stronnictwa mieszczańskie przyłączą się do większości i gdy zarówno wspólne prawa jak i wspólna odpowiedzialność skojarzy ich z mieszczańskimi partyami niemieckiemi.

— A inne narodowości?

— Nie ulega chyba wątpliwości, że wobec istniejących najrozmaitszych duchowych, narodowych i kulturalnych punktów stycznych — pokój zawarty między wielkimi narodami musi uśmierzyć także zatargi i niesnaski między małymi. W końcu aś musi tryumfować idea państwa, której i Polacy tak wiernie hołdują.

— A zgoda społeczna, Ekscelencyo?

— Hm! Zgoda społeczna! Jeżeli powiedzie się utworzyć nową większość — wówczas powiedzie się też na podstawie sumiennej pracy w ostatniej fazie w obecnej kadencyi, stworzyć także wspólną, socyalną platformę; wówczas będzie można dać ludowi cały szereg pozytywnych korzyści, które złamią przeczący zawsze wpływ socyalnej demokracyi. A wówczas mimo wzajemnego współzawodnictwa stronnictw mieszczańskich nie zdarzy się już więcej, iżby które kolwiek z nich z nienawiści do drugiego dopomagać miało do zwycięstwa socyalnej-demokracyi.

— Czy to jest myślą przewodnią nawoływań prezydenta gabinetu bar. Bienertha, ażeby wielkie mieszczańskie partye podały sobie ręce do współdziałania?

— Czy baron Bienerth to miał na myśli, nie wiem; to tylko stwierdzić mogę, że prawno-polityczny sens jego systemu takim usiłowaniom bynajmniej się nie sprzeciwia.

— Czy stronnictwo waszej Ekscelencyi życzy sobie, ażeby baron Bienerth stał na czele także przyszłego gabinetu?

— Zapewnić mogę, że jego osobiste przymioty oraz zdolności polityczne są nam tak samo sympatyczne, jak Polakom..

— Mimo kwestyi kanałowej, Ekscelencyo?

— I tu znajdzie się jeszcze jakaś możność pogodzenia postulatów kanałowych Koła polskiego, które zresztą i wśród nas liczą dużo zwolenników, z obecną siłą finansową państwa, jeżeli tylko po obu stronach zachowana zostanie mądra miara.

— Ekscelencya żywi zatem nadzieję, że usiłowania ugodowe między narodowościami wydadzą skutki pomyślne?

— Przynajmniej o tyle, o ile przez to da się wytworzyć między ludami Austryi stan znośnego, pokojowego współzawodnictwa.

— A dalej, że owocem zgody narodowościowej będzie silny blok partyi mieszczańskich, oparty na zgodzie socyalnej?

— Tak jest, blok biało-niebieski — o ile mogę go tak nazwać — jako przeciwstawienie blokowi czerwonemu. A spodziewam się tego tem bardziej, ponieważ właśnie teraz, gdy stronnictwa mieszczańskie dążą do zgody narodowościowej, blok czerwony trawiony jest wewnętrznymi rozterkami narodowemi.

— Ekscelencya nie cieszy się opinią optymisty?

— Przeciwnie! I dla tego powodu właśnie wszystko to, co panu powiedziałem, powiedziałem warunkowo. Niezadługo już zresztą dowiemy się z Pragi, czy na seryo można się oddawać takiem nadziejom? W każdym razie powinni ci, którzy tam biorą udział w akcyi, uprzytomnić sobie następstwa swej działalności i powinni być świadomi swej odpowiedzialności!

Stanowisko Koła polskiego w opinii posłów niemieckich i ruskich.

Ze względu na to, że w ostatnim czasie w życiu politycznym Austryi odegrało ważną rolę Koło Polskie, redaktor Rosner udał się do wybitnych posłów niemieckich i do przew. klubu ruskiego, aby zasięgnąć ich zdania o obecnem stanowisku Koła polskiego. Od eksc. Gessmana udał się do parlamentu i miał zaszczyt rozmawiać naprzód z wybitnym członkiem stronnictwa chrześcjańsko socjalnego von Baechle.

Poseł Dr. Józef von Baechle.

Poseł ten cieszy się w parlamencie opinią polityka bardzo zdolnego i posiada już wybitniejszą „firmę“. Gdy przystąpiłem do niego, powitał mnie nadzwyczaj życzliwie, a gdy mu wyjaśniłem cel mojej rozmowy, odparł niemal serdecznie:

— Bardzo się cieszę, że mogę swoje przekonania o ostatnich zajściach w parlamencie wyjawić przedstawicielowi polskiego pisma. Boć tu głównie chodzi o Polaków, o Koło polskie.

— Właśnie dlatego do pana posła się zwróciłem — wtrąciłem.

— Co do polityki Koła polskiego na zewnątrz — mówił uprzejmy poseł — to zdaje mi się, że w obecnej chwili mnie, niewtajemniczonemu w rozmaite sprawy, nie wypada wydawać definitywnego sądu.

— Lecz można przecież sądzić także po pozorach i zewnętrznych objawach — wtrąciłem.

— Nie przeczę — odpowiedział szybko — z tego zaś stanowiska sądząc, pozwolę sobie zaznaczyć, że nie ulega najmniejszej wątpliwości, iż Koło polskie odzyska swoją dawną solidarność — czego sobie wszyscy z całego serca życzą — i że w najkrótszym

---

chyba ze wstydu i złości! Daj drugich trzydzieści.— A wino to ty kupisz sam...

— Nie mam więcej...

— A do Hawełki chodzić masz za co? A grać w resursie w preferansa masz za co?

— Nie mam więcej...

— Nie masz?! Musisz mieć!... — A zresztą, jak chcesz. Nie urządzimy świąt. Ludzie z nas drwić będą, ale, jak nie ma pieniędzy, to trudno. Powiedzą, że dziady... Głową muru nie przebijesz. Wystawiamy się na pośmiewisko. Będą mówili, że ja skąpa i szmucyanka. Jadzia to już na pewno starą panną zostanie. Chyba na guwernantkę pójdzie?! Uuu (płacz, a chustka nie najpierwszej świeżości jedzie ku oczom).

* * *

Wieczór wigilijny....

Pan domu i pani domu. Sześcioro pociech. Najmłodsza lat sześć, najstarsza lat... ośmnaście wiosen. (Po cichu dwadzieścia dwa skończyła, ale na wszelki wypadek). Dalej... pan Adolf. — Pan Adolf nie ma w Krakowie rodziny, ale za to jest koncepistą krajowej dyrekcyi skarbu.

— Mężu!

— No?

— Już pierwsza gwiazda na niebie. Siadajmy do wieczerzy!

— Aha...

Następuje ceremonia łamania się opłatkiem. Łzy i cmokania. Pan Adolf cały purpurowy.

— Pan Adolf siedzi koło Jadzi. Kazik niech nie trąca, bo pójdzie w kąt. Staszek, jedzenie nie ucieknie. Janku, żebyś do nauki tak pilnie się zabierał, jak do barszczu. Lunia, nie obcierać nosa palcami.

— Mamo! Mama dała panu Adolfowi siedm uszków, a ja mam tylko dwa... uuu....

— No to ja dam Zosieńce moje, tylko nie płakać.

— Ależ, panie Adolfie, co pan będzie uważał na tę smarkatą. Janek, nie skrob się widelcem po głowie!

Po barszczu ryba w sosie i t. d.

— Kazik!

— Co?

— Popatrz, jakie pan Adolf ma dziury w twarzy. (Konkurent — biedak jest dziobaty).

— Hi, hi, hi! Panie Adolf, kto panu te dziury w twarzy porobił?

— Kazik! Janek! Wstaniecie od stołu, gałgany jakieś!

— My nie winni, że pan Adolf ma twarz, jak sito.

Ogólna konsternacya. — Mama odzyskuje przytomność.

— Janek jutro śniadania nie dostanie!

— Ależ proszę pani radczyni, niech sobie dzieciak mówi, co chce.

— Dla przykładu, panie Adolfie, dla przykładu.

— Ależ pani radczyni... (cmok w pulchną łapę)...

Kazik wbiegł na chwilę do kuchni. Po minucie wraca.

— Mamo, Mamo! Tam w kuchni jest żołnierz, ten kapral, co się chce żenić z kucharką! Siedzi na ławie i trzyma Maryśkę na kolanach. Dlaczego Jadzia nie siedzi na kolanach pana Adolfa? Przecież mama mówiła, że on chce się z Jadzią ożenić.

Rumieńce na twarzy pani domu przemieniły się w secesyjny fiolet.

Długa, kłopotliwa pauza.

— Przejdźmy do salonu!

* * *

Boże drzewko. Zabrano smerekową niedorośl z lasu, zanim wyrosć mogła na piękne drzewo, obcięto, poobwieszano smakołykami i świecidełkami.

Zapalono świeczki.

czasie wstąpi znowu na arenę polityczną, jako czynnik solidarny i siłą swoją nakazujący szacunek dla siebie. Nie ulega kwestyi, że przyczyną ostatniego kryzysu nie była tylko i wyłącznie sprawa kanałów, ale o tem nie mówmy. Najbliższy czas pokaże niewątpliwie, że Polacy byli i są zawsze doskonałymi politykami.

Raz przynajmniej znów usłyszałem słowo: „Kanały!“ Lecz i ten uprzejmy poseł nie chciał absolutnie mówić o nich szerzej. Z ostatniej zaś uwagi wywnioskowałem, że i on nie wątpi o dojściu do skutku... kompromisu w tej sprawie. Sapienti sat — pomyślałem i pożegnałem pana von Baechle.

Członkowie niemieckiego Związku narodowego o Kole polskim.

Poseł dr. Artur Stölzel

streścił swoje zapatrywanie w tych słowach:

— Ostatni atak Koła polskiego na gabinet Bienertha, a raczej, właściwie mówiąc, na ministra skarbu, nie był po myśli, rzecz prosta, niemieckim partyom większości. Polacy też nie liczyli wcale na poparcie z tej strony; wiedzieli bowiem, że niemieckie stronnictwa w tej sprawie nie staną im przy boku. Jednakże, zważywszy spokojnie, objektywnie stosunki, nie można się dziwić akcyi Koła polskiego, które nie mogło dłużej pozostać obojętnem wobec rozgoryczenia całego kraju, spowodowanego niewykonaniem ustawy kanałowej, do której w Galicyi przywiązywano nadzieje wielkich ekonomicznych korzyści. Dotychczasowe jednak, niezwykle roztropne i świadczące o świetnem wyrobieniu politycznem stanowisko Koła polskiego uprawnia do nadziei, że po pozytywnem, politycznem rozważeniu wszystkiego, znajdzie się wyjście z tej sytuacyi i że żądania, stawiane w interesie ekonomicznego rozwoju Galicyi, dadzą się w ten sposób zrealizować, że ani państwo, ani inne kraje nie poniosą z tego powodu szkód, przeciw którym trzebaby było walczyć.

Poseł Günther

znany przeciwnik kanałów, a przedewszystkiem wielce nieżyczliwie usposobiony względem przemysłu galicyjskiego, z którego strony obawia się niebezpiecznej konkurencyi dla przemysłu śląskiego, jest naturalnie również bardzo niezadowolony ze stanowiska, zajętego przez Koło polskie. To też nie zdziwiłem się wcale gdy mi oświadczył, co następuje:

— Stanowisko Koła polskiego, zasadzające się na tem, że Koło zagroziło odmówieniem uchwalenia tak zw. konieczności państwowych, jeśli bar. Bienerth nie zobowiąże się do wykonania ustawy kanałowej, nie mogło absolutnie spotkać się wszędzie z uznaniem..

— Pojmuję to dobrze — wtrąciłem — lecz stanowisko to Koła znane było już przecie od lipca.

— To też już w lipcu — odparł poseł Günther — stanowisko Koła w sprawie kanałów nadwerężyło bardzo dotkliwie zdolność do pracy parlamentu. A dziś....

— Dziś — zauważyłem — Koło przecie godzi się na prowizoryum budżetowe.

— Dziś — ciągnął dalej poseł już nieco łagodniejszym tonem, przypomniawszy sobie zapewne, że mówi do Polaka — należałoby tylko życzyć z całego serca, by solidarne potężne Koło jak najrychlej wzmocniło swoją powagą szeregi chętnych do pracy stronnictw, bo parlament ma ciężkie i odpowiedzialne przed sobą zadania, które wypełnić powinien. A w takich jak obecnie warunkach, wypełnić ich nie jest w stanie.

Zrozumiałem intencyę posła Günthera i nie pytałem o więcej. Wiedziałem zresztą, że w rozmowie ze mną intencyi tej jaśniej nie wypowie. Jego zdaniem przecie Koło powinno sobie za zaszczyt uważać, iż może współdziałać dla dobra niemieckiej Austryi choćaż kosztem najżywotniejszych interesów Galicyi. W jego oczach upomnienie się o kanały jest i pozostanie... zbrodnią.

Wprost od niego udałem się do radcy dworu

Posła Dr Bachmanna.

Przywitał mnie on bardzo uprzejmie — a w toku rozmowy nie szczędził komplementów pod adresem Koła. Snać w przeciwieństwie do posła Günthera mniema, że „czapką i papką“ łatwiej ludzi zniewolić, zwłaszcza zaś czułych na uprzejmość Polaków. On też daleko optymistyczniej zapatrywał się na sytuacyę.

Na pytanie moje, jakie jest jego zdanie o obecnej sytuacyi, odpowiedział:

— Przyznam się, że ze zdumieniem patrzyłem na bezhołowie, jakie w ostatnich dniach panowało w parlamencie i w kołach rządowych. I dziś jeszcze trudno wyrobić sobie jasny i ścisły sąd o sytuacyi.

— Jakie zaś — pytałem dalej — zdaniem Pana mogą być następstwa obecnego zamieszania?

— I to trudno przewidzieć — odparł. — Zdaje mi się jednak, że obawy, którym w ostatnich dniach dano niejednokrotnie wyraz, są nieuzasadnione. Co do mnie, mam nadzieję, że stronnictwa, które dotąd razem pracowały i nadal pracować będą zgodnie.

— Zatem pan poseł nie wierzy w możliwość zaostrzenia się sytuacyi?

— Jeśli mam być szczery, przyznaję się, że nie wierzę. Mam nawet nadzieję, że sytuacya wyjaśni się prędzej, niż się tego spodziewają.

— A czego się pan poseł spodziewa po Kole polskiem?

— O Kole polskiem? — Tu pan poseł uśmiechnął się uprzejmie. — Tęgi, mądry zmysł polityczny Koła — rzekł — rychło też weźmie górę nad obecnem zdenerwowaniem.

Rozstaliśmy się na tem. A zatem — ten poseł obecne, rzekomo zasadnicze — stanowisko Koła uważa tylko za wynik... zdenerwowania. Biedne Koło!

Poseł Dr Bendel.

do którego się w końcu zwróciłem, również nie okazał się pesymistą.

— Na sytuacyę dzisiejszą — mówił do mnie niemal wesoło — wszyscy zapatrują się zbyt czarno. O jakiemś ogólnem przesileniu wogóle mowy być nie może, a już absolutnie nie wierzę, iżby Koło polskie miało być wrogo usposobione dla parlamentaryzmu. Tak źle nie jest!

— Bardzo się cieszę — zauważyłem, słysząc tak trafne zdanie. — Pan poseł rzeczywiście się nie myli!

— Widzi pan — odrzekł zadowolony — że znam ich dobrze. Mając za sobą tak wspaniałą tradycyę, Polacy za nadto dobrze znają grunt greckiego pałacu na Franzensringu, wiedzą dobrze o tem, że kwestye osobiste muszą ustąpić kwestyom państwowym...

— Kwestye osobiste? — zapytałem zdziwiony.

— Tak jest! — zawołał z przekonaniem w głosie. — Na dnie całej akcyi Koła polskiego tkwi sprawa osobista, sprawa Dr Bilińskiego. Ta w obecnej sytuacyi zadecydowała o wszystkiem. Lecz obok tego, nie przeczę, mogą wchodzić w grę inne jeszcze względy. Otóż według mego zapatrywania w Kole polskiem istnieje prąd, zmierzający do odsunięcia się od Niemców, a do zbliżenia się do Czechów.

— Jakiż dowód na to?

— Nie sądzę bynajmniej — ciągnął poseł Bendel dalej, jakgdyby nie słysząc mego pytania — iżby Polacy właśnie w tej chwili, wobec toczących się czesko-niemieckich rokowań, hołdowali tym tendencyom. W tej chwili nawet stanowisko Koła sprawia wrażenie wręcz przeciwne, a mianowicie, że przygotowuje się nowa parlamentarna większość, coś w rodzaju... żelaznego pierścienia. Lecz że antiniemiecka tendencya istnieje w Kole, o tem nie wątpię...

Nie czułem się powołanym do tego, aby wyperswadować posłowi Bendlowi to mniemanie, więc go pożegnałem, zadowolony, że poznałem, jakie jest zapatrywanie na obecne przesilenie także w kołach związku narodowo-niemieckiego.

Wszechniemiec o Kole polskim.

Wszechniemiec poseł Iro.

Z kolei — dla kompletu — udałem się także do posła wszechniemieckiego Karola Iro, najwierniejszego ze stronników Schoenerera, i poprosiłem także o jego zdanie. Zbył mnie on krótko i lakonicznie kilku zdaniami, które miały następujące brzmienie:

„My, Wszechniemcy wiemy już oddawna, że w Austryi ani dymisya pojedynczego ministra ani dymisya całego gabinetu nie oznacza bynajmniej zmiany systemu rządowego. Czy u steru rządu stać będzie ten lub ów gabinet — każdy liczyć się musi z wolą Korony, która wymaga od rządu wielkiej względności i uległości dla słowiańskich i klerykalnych żywiołów w państwie. Chociażby w gabinecie zasiadali najpracowitsi mężowie niemieccy, decyzya będzie zawsze w ręku zakulisowych słowiańskich i klerykalnych reżyserów. Dla tego też my, wszechniemcy, ani nie

---

— Aaa....

Zachwyt trochę dziecinny, trochę dorobiony. Mama rozdaje podarunki. Pan domu dostał piankową fajkę, dzieci tanie wydawnictwa gwiazdkowe, Jadzia materyał na sukienkę, a pan Adolf pantofle.

— Jadzia własnoręcznie haftowała!

— Panno Jadziu! (cmok w łapkę).

Pan domu tubalnie śmieje się.

— Pantofel, kochany komisarzu. Ha, ha, ha, to symbol, kochany panie! Ha, ha, ha. A swoją ulicą najlepiej w kawalerskim stanie. Słowo honoru daję, mój kochany.

Pani domu uśmiecha się cierpko.

— Piłeś zadużo wina, Sebastyanie i bzdurstwa gadasz.

Znowu kłopotliwa pauza.

— No dziatki, zaśpiewajcie!

— Bóg się rodziii...

— Panie Adolfie, dlaczego pan nie śpiewa?

— Całuję rączki, pani radczyni.

— Ależ niech się pan nie krępuje.

— Janek mnie szczypie, mamo!

— Bóg się rooodzi, moc truchleeeje, Pan niebiooośóów...

— Mamo, pan Adolf nie śpiewa, tylko ryczy.

— Kazik, smarkaczu jeden, pójdziesz pod piec.

— Ależ, pani dobrodziejko....

Do głosów i głosików młodzieży dołącza się przepity bas pana domu, śpiewającego o trzy tony za nizko.

Kakofonia piekielna!

* * *

— Panno Jadziu....

— Panie Adolfie....

— Jedno słóweczko....

— Słucham pana....

— Ale się pani nie pogniewa?

— Nie!...

— Kocham!

— Panie Adolfie....

— Nad życie kocham.

— ....Niech pan jutro pomówi z mamusią.

* * *

— Proszę mamy, dlaczego pan Adolf nic nie mówi, taki cały czerwony i tylko ciągle bucikiem szturka Jadzię w pończochę?

— Kazik, utrapieńcze jakiś. Marsz, precz!

* * *

Gość już poszedł. Północ minęła. Pani domu gasi światła i liczy srebro.

— Jadźka!

— Co mamo?

— Oświadczył się?

— Tak mamo!

— Chwała najwyższemu! Kiedy przyjdzie?

— Jutro, mamo!

— Idź moje dziecko spać!

— Dobranoc, mamo!

* * *

— Janek!

— Co Kazik?

— Będzie wesele?

— Będzie...

— I tort ponczowy?

— I tort....

— I wino?

— I wino...

W kwadrans później anioł snu rozciąga nad domem swe dłonie. Po poszczególnych pokojach rozlega się chrapanie w rozmaitych tonacyach i barwach.

* * *

unosiliśmy się nad rzekomą życzliwością dla Niemców gabinetu Bienertha, ani też dziś się nie martwimy, że gabinet ten upadł. System i tak się nie zmieni.

— A czesko-niemiecka ugoda? — zapytałem.

— I co do niej zachowujemy się sceptycznie. Żądamy ażeby niemieckiej części Czech dano samorząd odrębny i przez to zabezpieczono ją przed samowolą czeskiej większości sejmu. Od tego żądania nie odstąpimy, nie zgodzimy się też na żadne ustępstwa z interesów niemieckich dla tego, ażeby rząd w parlamencie mógł sobie stworzyć powolną większość. Bronimy nie państwa, lecz narodu niemieckiego w Austryi. Co do dalszych rokowań rządowych, żądamy zupełnej jawności, ażebyśmy zawczasu zapobiedz mogli ewentualnemu skrzywdzeniu ludności niemieckiej. To nasze stanowisko, reszta mało nas obchodzi".

Zadowoliłem się temi wynurzeniami, bo innych się z tej strony nie spodziewałem.

Opinia „dzikich"

Członek Izby Panów Dr. Wilhelm baron Berger.

Jest to jedna z największych współczesnych powag w parlamencie — chociaż chadza jako dziki — i do żadnej partyi nie należy. Znany jest przytem ze swej niedostępności. Nie mało się zatem zdumiałem, gdy mnie przyjął chętnie, nawet z wyszukaną grzecznością, a bardziej jeszcze, gdy z całą gotowością wypowiedział swoje zdanie o obecnej sytuacyi.

— Po raz pierwszy — rzekł na wstępie — zdarza mi się, że mam wyjawić moje zdanie redaktorowi pisma polskiego. Oświadczam więc panu, że czynię to z przyjemnością. Nie żądaj pan jednak odemnie długich wywodów...

— To też chętnie zadowolę się chociaż kilku słowy wiedząc, że utrafią in medias res...

— A więc dobrze — rzekł z powagą. — W kilku słowach streszczę moje zapatrywanie na obecną sytuacyę. Pańskie pismo, jako organ demokratyczny, zdaje sobie zapewne dobrze sprawę z tego, że w Kole polskiem za mało się jeszcze przebija szczerze demokratyczny pierwiastek. Mając to przed oczyma, sądzę, że w ostatniej akcyi Koła chodziło o coś więcej, nie tylko o kanały. Ale kwestyę kanałów stanowczo za silnie zaakcentowano. Obecnie już w każdym razie przesilenie znacznie osłabło i można oczekiwać, że Koło polskie podejmie na nowo nić świetnej tradycyi i stanie się znowu podporą Izby posłów.

A zatem i u tej powagi nie znalazłem wiary w stałość koła...

Poseł Kost' Lewicki, przywódca klubu ruskiego, o kanałach i ugodzie polsko-ruskiej.

Z kolei zwrócił się nasz redaktor do posła K. Lewickiego, przywódcy klubu ruskiego w parlamencie.

— Czy mogę pana posła poprosić o wywiad? Jestem redaktorem „Gazety poniedziałkowej" z Krakowa.

— Z „Gazety poniedziałkowej" — odparł poseł — w takim razie służę panu z przyjemnością.

— Jak się pan prezes zapatruje na obecną sytuacyę parlamentarną? — spytałem.

— Nim panu odpowiem — zaczął poseł L. — muszę z góry zaznaczyć, że nie mówię jako osławiony rzekomy wróg Polaków, ale jako poseł, patrzący trzeźwo na rzecz całą. A ponieważ parlament w ostatnich czasach utknął na kanałach, zacznę od sprawy kanałów. Moim zdaniem najgłówniejszą, a bodaj nawet czy nie jedyną przyczyną niepowodzenia sprawy kanałowej jest fakt, że Koło polskie sprawy tej nie traktowało nigdy z punktu widzenia ekonomicznego i nie zadawało sobie wcale trudu, aby rzecz całą należycie przygotować, nim się zacznie ostrą walkę o wprowadzenie w czyn ustawy, która, moim zdaniem, już w samym założeniu była tylko ustawą na papierze. Koło polskie nie poczyniło starań, aby zbadać: 1) czy, jako praca przedwstępna do budowy kanałów, została w kraju należycie przeprowadzoną regulacya rzek; 2) czy kanały będą naprawdę przedsiębiorstwem rentownem; 3) czy dzisiejszy stan finansowy państwa jest stosownym momentem do domagania się wykonania ustawy, która, jak już zaznaczyłem, była tylko ustawą na papierze.

— Rusini byli zawsze przeciwnikami budowy kanałów — wtrąciłem — stanowisko pana prezesa jest więc...

— Panie redaktorze — przerwał mi prezes L. — proszę oświadczyć najkategoryczniej, żeśmy, Rusini, nie byli nigdy wrogami kraju, a tem samem przeciwnikami budowy kanałów. Ale myśmy nie uważali sprawy kanałowej za atut do przyszłych wyborów; myśmy patrzyli na tę sprawę jedynie i wyłącznie z punktu widzenia ekonomicznego. A że ustawa kanałowa była tylko ustawą na papierze, to sam udowodnię. Ustawę tę uchwalono za rządów Koerbera. Koerber, chcąc uruchomić parlament w r. 1901, przyrzekał wszystkim stronnictwom, na prawo i lewo, co się mu podobało i co się komu zachciało. Tak przyrzekł Kołu polskiemu kanały, jako rekompenzatę za koleje alpejskie. Kraje alpejskie postarały się jednak o to, aby obiecanka nie była tylko obiecanką. Posłowie ich przyszli do Koerbera z gotowymi planami i zażądali rozpoczęcia robót. Koerber w takiej sytuacyi nie mógł się cofnąć i koleje alpejskie wybudowano. Z kanałami nie miał jednak Koerber kłopotu. On wiedział, że Koło polskie nie będzie nad tą sprawą należycie czuwać, co się rzeczywiście stało i wiedział, że nim zostaną wygotowane plany, nim wogóle przyjdzie do traktowania sprawy kanałów na seryo, Polacy, jak zawsze, zadowolą się obiecanką albo rekompenzatą. Klub ruski traktował sprawę na seryo. Myśmy chcieli przedewszystkiem uzyskać to, co do budowy kanałów jest niezbędnie potrzebne, jako praca przygotowawcza, to jest zmusić rząd do regulacyi rzek i melioracyi gruntów. I wtedy był moment, żeśmy sprawę kanałów jak najenergiczniej i najusilniej popierali.

Ale, kiedyśmy zobaczyli, jak się rząd do regulacyi rzek zabiera, jak ją niedbale przeprowadza, jak mimo tych pozornych regulacyi Galicya rokrocznie tyle strat ponosi skutkiem powodzi, zniechęciliśmy się w najwyższy sposób do całej sprawy kanałowej. Dzisiejsza regulacya rzek nieodpowiada wprost najprymitywniejszym wymogom, a co gorsza, tam, gdzie regulacye zostały przeprowadzone, przyszło wprost do katastrofy nadbrzeżnych gruntów. Widząc to, baliśmy się, czy i kanały nie zostaną w tensam sposób przeprowadzone. I dla tego wystąpiliśmy przeciw kanałom. Skłoniły nas do tego inne jeszcze przyczyny. Kanały mają służyć do przewozu surowców z naszego kraju za granicę a my stoimy na stanowisku, że się surowców z naszego kraju nie powinno za granicę puszczać, bo one nam będą potrzebne przedewszystkiem do rozwoju w kraju przemysłu, o którem się tyle mówi i który w Galicyi ma powstać. Wreszcie, kiedyśmy w jesieni byli u Bienertha na konferencyi, oświadczył on nam najkategoryczniej, że „die Regierung geht die Kanäle gehen nicht!"

Ponadto, jeśli mam być szczerym, nie wiem, dlaczego się politycy boją wypowiedzieć otwarcie to, co rząd dał kilkakrotnie do zrozumienia, że kanałów budować nie chce i nie będzie ze względów strategicznych. W razie wojny bowiem, proszę pana, można nasypy kolejowe zburzyć, rozrzucić ale kanał zostaje zawsze drogą otwartą. Tyle panu redaktorowi mogę powiedzieć o sprawie kanałowej.

— A jak się pan prezes zapatruje na ugodę czesko-niemiecką?

— Czekamy na nią z radością, bo jesteśmy przekonani, że ona przyspieszy ugodę polsko-ruską, która pana pewnie bardziej interesuje... My, Rusini, podaliśmy plany tej ugody jeszcze na posiedzeniu przewodniczących klubów w sprawie reformy wyborczej krajowej. Jako podstawę częściowej ugody postawiliśmy trzy zasadnicze żądania. Zażądaliśmy: 1) ilości mandatów ruskich w sejmie, odpowiadającej procentowo liczbie ludności ruskiej w Galicyi; 2) odpowiedniego udziału w reprezentacyi kraju, a więc, procentowego ustosunkowania liczby ruskich członków Wydziału kraj., wicemarszałka przewodniczącego i urzędującego, gdy dziś mamy tylko wicemarszałka przewodniczącego; 3) utworzenia kuryi narodowościowej. Dzięki obywatelskiemu stanowisku posła prezydenta Lea już dochodziło do ugody co do 2 i 3 punktu, ale z powodu stanowiska Podolaków stał się punkt 1 spornym. Na przedłożone nam propozycye zgodzić się nie mogliśmy. Bo według nich cały naród ruski miał mieć tylu przedstawicieli w sejmie, ilu chciał mieć każdy poszczególny klub ruski. Żądaliśmy 31%, a dawano nam 23%. Proszę oświadczyć kategorycznie, że naród ruski nigdy się nie zgodzi. Dziś referat tej sprawy spoczywa w ręku posła Głąbińskiego, który, bez kwestyi, jest obecnie w bardzo przykrem położeniu. Przewiduję, że jeśli ten punkt nie będzie załatwiony po myśli Rusinów, to nie ma podstawy do ugody między Polakami a Rusinami i walka trwać będzie dalej.

Na tem skończyłem wywiad z posłem K. Lewickim.

Pan domu w biurze.

Na stosie żółkniejących „zaległości" karteczka z wypisanymi cyframi.

— Weinbergerowi 100 koron. Gajerowi 100, Hirszowi 300, w zaliczkowem 50, w kasie 150... Boże miłosierny, skąd ja pieniędzy wyrwę na to wszystko. A teraz wyprawa, wesele.... Pożyczaj i pożyczaj... — A z czego oddać?

Monolog przerywa woźny.

— Jakiś żyd przyszedł, mówi, że ma ważny interes.

W drzwiach pojawia się brodata postać w zatłuszczonym chałacie.

— Nu?

— Dzień dobry panu, panie Hirsch! Dam panu dziesiątkę na procenta. Więcej w tym miesiącu nie mogę...

— Nu?

— Dalibóg, że nie mogę.

* *

Przeszły, minęły...
Za rok znowu wrócą.

K. Baranowski.

Sprawa ubezpieczenia pensyjnego.

Specyalne wywiady „Gazety Poniedziałkowej".

I.

Były minister hr. Leopold Auersperg

o sprawie ubezpieczenia pens.

Na wstępie rozmowy redaktor nasz zaznaczył, że według jego spostrzeżeń i wiadomości, ustawa o ubezpieczeniu pensyjnem nie cieszy się sympatyami w szerokich kołach ludności, i że nawet jej zwolennicy i protektorzy otwarcie przyznają, iż wymaga ona zmian i ulepszeń.

Jego ekscel. hr. Auersperg odpowiedział na to:

— „Tworząc tę ustawę, wstąpiła Austrya na teren prawodawczy zupełnie nowy i to już tłomaczy dostatecznie, dla czego za pierwszym rozmachem nie zdołano stworzyć dzieła zupełnie udałego. — Nadto zaś w ostatniem stadyum obrad nad tą ustawą pracowano ze zbytnim pośpiechem. Jak pan sobie zapewne przypomina, należy ona do tej grupy przedłożeń ustawowych, które ostatni parlament kuryalny uchwalił o przyjęciu nowej ordynacyi wyborczej w ostatnich tygodniach swego istnienia.

Mimo to — nie należy zapominać, że ustawa ta jakkolwiek wykazuje błędy, była wielką zdobyczą socyalną. Stworzyła ona ubezpieczenie odrębne, zastosowane do potrzeb pracowników umysłowych. Ci pracownicy tworzą osobną warstwę społeczną, różniącą się w swej strukturze bardzo znacznie od pracowników ręcznych. Zwrócę tu tylko uwagę na objawiające się w tej warstwie pragnienie ustalenia stosunków życiowych, na zamiłowanie do życia rodzinnego, na dążności do udzielenia dzieciom wyższego wykształcenia i zapewnienia wdowom i sierotom odpowiedniego zaopatrzenia. Tym wszystkim potrzebom w ramach ogólnego ubezpieczenia robotniczego w należyty sposób zadość uczynić nie można. Ustawa pensyjna natomiast uwzględnia je w szczególnej mierze. Zapewnia ona przecie wdowom odpowiednią rentę, dzieciom zasiłki na ich wychowanie aż do 18 roku życia, samym zaś ubezpieczonym daje rentę na starość, a więc zaopatrzenie, które dla robotników fizycznych w Austryi jeszcze nie istnieje. A co na szczególną zasługuje uwagę, reszta ta przypada ubezpieczonym w udziale już z chwilą inwalidztwa zawodowego.

To właśnie odpowiada potrzebom i stosunkom pracowników umysłowych, którzy z chwilą, w której stają się niezdolnymi do wypełniania swoich zawodowych obowiązków, tracą także możność należytego utrzymania siebie i dzieci, mimo, że mogliby może jeszcze w inny sposób z rabiać.

I z tej już racyi ubezpieczenie ogólne, któreby udzielanie renty czyniło zależnem wogóle od zupełnej niezdolności do jakiejkolwiek pracy, nie odpowiadałoby interesom pracowników umysłowych.

Niestety — jak już zaznaczyłem — zdrowa zasada, na której się to ubezpieczenie opiera, nie mogła się dotychczas uwydatnić w pełnej mierze, z powodu błędów, i to dość znacznych, co sam przyznaję, jakie tkwią w ustawie. Zwolennicy jej znajdują się w każdym razie na dobrej drodze, gdy domagają się rychłej, a gruntownej jej rewizyi i nowelizacyi.

Jakie widoki mają te żądania i dotyczące starania, tego naturalnie w tej chwili nikt przewidzieć nie może. Stwierdzam jednakże, że w tym kierunku uczyniono już znaczny krok naprzód. Wiadomo panu

zapewne, że w Izbie poselskiej zgłoszono wniosek o wydanie noweli do tej ustawy już w roku 1908, a więc jeszcze przed jej wejściem w życie i że subkomitet socyalno-polityczny już wypracował projekt do takiej noweli. Obrad nad tym projektem w plenum Izby niestety nie dokończono, ponieważ przedtem nastąpiło odroczenie parlamentu. Lecz praca nad tą nowelą mimo to nie ustała. Subkomitet parlamentarnej komisyi socyalno politycznej powziął bowiem po ponownem zebraniu się parlamentu w r. 1909 uchwałę, ażeby na razie zaczekano na zestawienie osiągniętych przy wykonywaniu ubezpieczenia doświadczeń. W porozumieniu z Powszechnym Zakładem ubezpieczenia dla urzędników prywatnych polecono jej, aby przedewszystkiem przeprowadziła pisemną ekspertyzę. Zakład ubezpieczenia ma zatem zestawić w sposób przejrzysty wszelkie nadsyłane mu orzeczenia ekspertów, a następnie na ich podstawie i na podstawie własnych doświadczeń przedłożyć parlamentowi odpowiedni memoryał. W tym memoryale mają być zawarte propozycye, dotyczące reformy obecnej ustawy pensyjnej.

Otóż ta pisemna ekspertyza przeprowadzona została już na wiosnę roku bieżącego. Wzięły w niej udział liczne korporacye. Także z Galicyi — jak z naciskiem zaznaczam, otrzymaliśmy cały szereg cennych orzeczeń i uwag. Przejrzenie i uporządkowanie tego materyału wymagało dużo pracy. lecz jest on już gotów i wypełnia wielki tom o 337 stronicach. Gotowy jest już także memoryał własny Powszechnego Zakładu ubezpieczenia.

Zakład ten posiada naturalnie w pierwszym rzędzie możność gromadzenia doświadczeń na tem polu. Wymienię tu z uznaniem doskonale prowadzony krajowy zakład powszechnego ubezpieczenia we Lwowie, który centrali naszej bardzo cennego dostarczył materyału.

Projekt memoryału Powszechnego zakładu pensyjnego uchwalony został na posiedzeniu zarządu w dniu 17 grudnia rb. jednomyślnie. Tę jednomyślność podkreślam ze szczególnem zadowoleniem. W zarządzie bowiem reprezentowani są pracodawcy i przedsiębiorcy w równej mierze. Znaczy to, że pomiędzy obu grupami, które z natury rzeczy nie zawsze są zupełnie zgodne z sobą, w tym wypadku osiągnięto pełne porozumienie. Już w styczniu w r. 1911 memoryał ten przedłożony zostanie parlamentowi. Wówczas dalsze losy uzupełnienia ustawy pensyjnej spoczną już wyłącznie w ręku prawodawcy.

Horoskopów co do tych losów na razie nie chciałbym stawiać. Dotychczasowy jednak przebieg i rozwój sprawy uprawnia do pomyślnej nadziei. Zacięta walka, jaką rozpętało wprowadzenie w życie tej ustawy miała przynajmniej ten dobry skutek, że zainteresowała opinię publiczną w daleko większej mierze dla całej tej sprawy, niżby to się było stało bez walki. Przez to osiągnąć było można nietylko wyjaśnienie spornych kwestyi, lecz także notabene głównych problemów, to zaś oddziała korzystnie na dalszy przebieg tej sprawy. Przedewszystkiem już wielka armia urzędników prywatnych sama zajęła wobec sprawy ubezpieczenia pensyjnego stanowisko jasne i zdecydowane. Zwracam oto uwagę na odbyty w dniu 4 grudnia w Wiedniu ogólny zjazd urzędników prywatnych z Austryi, na którym było ich reprezentowanych 70.000 i to wszelkich narodowości. W tem zaś, że zarząd Powszechnego Zakładu ubezpieczenia ich memoryał przyjął i jednogłośnie na uchwałę zamienił, widzę cenną gwarancyę, że reforma ustawy pensyjnej rychło przyjdzie do skutku. Przez to bowiem czynniki prawodawcze jasne otrzymają wskazówki, na jakiej wspólnej linii schodzą się życzenia obu grup członków powszechnego ubezpieczenia i w jaki sposób łatwo pogodzone z sobą być mogą. — A także u naszych ciał prawodawczych — o ile sięgają moje spostrzeżenia — stwierdzić mogłem korzystne dyspozycye w tym kierunku. Zwłaszcza przewodniczącemu wspomnianego subkomitetu komisyi socyalno politycznej dr Stefanowi Lichtowi należy się uznanie i wdzięczność zwolenników tego ubezpieczenia. Rzecz naturalna, że nie są wykluczone i przeciwne niespodzianki, które mogą rozwój reformy tej ustawy powstrzymać, lecz miejmy nadzieję, że odbędzie się bez nich i że cała sprawa pożądany weźmie obrót."

II.

Interwiew z radcą rządu p. dr Kaan.

Generalnym sekretarzem P. Z. pensyjnego w Wiedniu.

Współpracownik nasz po wizycie u ekscelencyi hr. Auersperga udał się do generalnego sekretarza „Powszechnego Zakładu ubezpieczenia" dla urzędników prywatnych p. radcy rządu Kaana i miał z nim o tej sprawie następującą rozmowę:

— Od pana, panie radco rządu — zaczął — muszę chyba w pierwszym rzędzie otrzymać wyjaśnienia o wadach i brakach ustawy pensyjnej oraz o środkach i sposobach, za pomocą których możnaby wady te usunąć. O wyjaśnienia te proszę! W rękach pańskich przecie, jako kierującego urzędnika Powsz. Zakładu pensyjnego, koncentrują się wszelkie doświadczenia i spostrzeżenia, dodatnie i ujemne, jakie poczyniono przy wykonywaniu tej ustawy, a pan za pewne bacznie śledzi wszystko co za i przeciw niej przytaczają jej zwolennicy i przeciwnicy.

— „Głównym błędem ustawy — odpowiedział radca Kaan — jest mojem zdaniem niejasne określenie jej przepisów o zakresie ubezpieczenia, to znaczy o tem, kto mu podlegać powinien. Wskutek tej niejasności bowiem nawet owe koła, które zwykle wszelkie swoje zobowiązania ustawowe wypełniają lojalnie, ogarnęła niepewność co do obowiązku ubezpieczenia pewnych kategoryi funkcyonaryuszów prywatnych. Ponadto niejasne określenie dotyczących przepisów sprawia, że można je interpretować w sensie i duchu, dyametralnie przeciwnym intencyom prawodawcy. Judykatura Trybunału administracyjnego rozstrzygnęła wprawdzie kwestyę obowiązku ubezpieczenia co do kilku kategoryi funkcyonaryuszów prywatnych, a co do innych rozstrzygnięcie definitywne rychło już nastąpi; co do mnie atoli wątpię, czy orzeczenia tego Trybunału zgadzają się zupełnie z zapatrywaniami prawnemi ludności. Zadekretował on przecie, że nawet diurniści i mundanci są wolni od obowiązku ubezpieczenia! A przecie — mojem zdaniem ci właśnie funkcyonaryusze tworzą grupę, którą uważać należy wprost za typ tak zw. „małych urzędników", a nadto ci właśnie urzędnicy, z powodu trudnego swego położenia materyalnego przedewszystkiem potrzebują ubezpieczenia. To też z obecnego, zupełnie niezadowalającego stanu rzeczy tylko jednę widzę drogę wyjścia, a mianowicie, że prawodawstwo samo wyraźniej określi grupy osób obowiązkowo ubezpieczenia podlegające.

Także skargom na stosunkowo nizki wymiar świadczeń ubezpieczenia na rzecz ubezpieczonych nie można odmówić pewnego uprawnienia. Nie ulega też wątpliwości, że przy reformie ustawy ubezpieczenowej dążyć będzie trzeba do podwyższenia tych świadczeń. Da się to osiągnąć głównie przez usunięcie obowiązujących obecnie niekorzystnych przepisów o obliczaniu kwoty podstawowej renty inwalidzkiej oraz przez podwyższenie dopłaty państwa do rent inwalidzkich i emerytalnych conajmniej dla niższych klas ubezpieczonych.

Przedewszystkiem atoli wymaga gruntownej reformy obecny sposób zgłaszania ubezpieczonych. — Ustawa musi dać także pracobiorcom możność współdziałania przy przeprowadzeniu tego tak ważnego dla nich i dla ich rodzin ubezpieczenia. Z drugiej znów strony należy także stworzyć gwarancyę przeciwko niebezpieczeństwom, grożącym zakładowi pensyjnemu na mocy obecnego brzmienia ustawy, według którego renty oraz inne świadczenia przypadać winny w udziale każdemu. podlegającemu obowiązkowi ubezpieczenia, bez względu na to, czy został zgłoszony do ubezpieczenia i czy opłacano za niego wkładki, albo nie.

Reformy wymaga wreszcie także ubezpieczenie zastępcze. Stan obecny mieści w sobie niebezpieczeństwo dla dalszej egzystencyi ubezpieczeń zastępczych, niebezpieczeństwo, które tylko w ten sposób da się usunąć, iż wszystkie owe instytucye zastępcze niejako oprą się o Powszechny Zakład ubezpieczenia. — Tak czy owak — Zakład ten musi otrzymać prawo przyjmowania także ubezpieczeń dodatkowych oraz ubezpieczeń wyższych — a więc prawo, które posiada już dziś większa część instytucyi zastępczych ubezpieczenia.

Wielką trudność stanowi dalej przepisana przez obecną ustawę nadzwyczaj powolna i żmudna procedura urzędowa. Wymaga ona uproszczenia w niejednym kierunku.

Zresztą i pod wielu innymi jeszcze względami obecna ustawa wymaga poprawek i ulepszeń, lecz te dotyczą przeważnie kwestyi szczegółowych i dla tego tu o nich nie wspominam"



Spór o koncesye szynkarskie.

Krakowska Rada miejska zajmowała się na ostatniem swojem posiedzeniu między innemi sprawą rozdziału koncesyi na wyszynk napojów alkoholicznych dla Krakowa w gminach podmiejskich. Po długiej i ożywionej dyskusyi uchwalono na wniosek radcy Dr. Bandrowskiego, ażeby w gminach tych istniało na razie 58 szynków. Liczba ta odpowiada mniej więcej dotychczasowej ilości tego rodzaju przedsiębiorstw w tych gminach. W dyskusyi z wielu stron wyrażono zdanie, że liczba ta jest wielka, że należy ją znacznie zredukować, ponieważ szynki to ogniska alkoholizmu, który i tak już aż nadto ofiar pochłania w Krakowie. Zgłoszone w tym kierunku wnioski znalazły chętny posłuch i poparcie u większości Rady. Przyjęto też kilka z nich, a mianowicie: wniosek radcy Pareńskiego, aby w miejsce wygasających koncesyi nie udzielono nowych, dopóki nie dojdzie się do tego, ażeby jeden szynk przypadał dopiero na 100 mieszkańców; dalej wniosek referenta, ażeby prezydyum miasta u miarodajnych czynników postarało się o nakaz zamykania szynków od soboty wieczora do niedzieli wieczora; wniosek radcy Konopińskiego, żądający ściślejszego wykonywania ustawy przeciwko opilstwu, wreszcie wnioski radcy Bandrowskiego, ażeby koncesyi nie wolno było przekazywać w spadku dzieciom oraz rezolucyę tegoż radcy, aby utworzono dom ludowy w Krakowie i pomnożono liczbę czytelń na przedmieściach. Takim był plon długiej dyskusyi w tej sprawie.

Zanim przystąpimy do omówienia tych uchwał, uważamy za potrzebne stwierdzić, że jesteśmy również zdeklarowanymi przodownikami ruchu anti-alkoholowego, że pragniemy również, ażeby plagę pijaństwa u nas jak najrychlej wytępiono. Zaznaczenie naszego stanowiska uważamy za potrzebne dla tego ponieważ nie we wszystkiem godzimy się na wygłoszone w owej dyskusyi zdania, a nie chcielibyśmy, ażeby nas źle zrozumiano i może posądzano, iż sprzyjamy albo przynajmniej nie sprzeciwiamy się rozpajaniu ludzi w szynkach.

Tak nie jest, więc też tem otwarciej możemy wypowiedzieć nasze nieco odmienne zdanie. Przedewszystkiem uważamy za fałszywe stanowisko tych, którzy zwalczając szynki, mają wyłącznie na myśli jedynie podrzędniejsze takie przedsiębiorstwa, przeznaczone przeważnie lub wyłącznie dla szerszych warstw ludowych, którzy równocześnie okazują się pobłażliwymi dla takich lepszych restauracyi, handelków i kawiarń. Takie wnioskowanie nie da się należycie uzasadnić. Przypuszczamy też, że referent radca Buczkowski domagając się zamykania **szynków** od soboty do niedzieli wieczora miał na myśli wogóle wszystkie przedsiębiorstwa, w których odbywa się cząstkowa sprzedaż napojów wyskokowych, a więc także pierwszorzędne i drugorzędne tego rodzaju przedsiębiorstwa. W przeciwnym bowiem razie jego wniosek byłby stronniczym i niesprawiedliwym. Kto bowiem już koniecznie pragnie się upić, ten dokazać tego może tak samo w pierwszorzędnym handelku i w wielkiej kawiarni, jak w małym szynku podmiejskim, tak samo winem, likierami i szampanem, jak zwykłą naszą krajową „gorzałką". Jedno i drugie jest alkoholem, a tylko... przyprawa odmienna. Nikt też chyba twierdzić nie zechce, iżby w tych „lepszych" szynkach trudniej się było upić, niż w owych gospodach, iżby w pierwszych napoje podawano mniej chętnie niż w drugich. Co do nas, to niejednokrotnie zauważyliśmy nawet coś zupełnie przeciwnego, na co zwłaszcza p. radcy Konopińskiemu zwrócić chcielibyśmy uwagę, ze względu na jego wniosek, ażeby ściślej przestrzegano przepisów ustawy przeciwko opilstwu. Mianowicie na to, że w podrzędnych szynkach znacznie częściej odmawia się już podchmielonemu gościowi dalszych trunków, że częściej go się tam wprost wyprasza z lokalu, niż w tak zw. lepszych „knajpach". Objaw to zresztą zupełnie zrozumiały. [Tu chodzi o „pana" tam „tylko o chłopa lub robotnika". Pierwszy gdy się upije, nie sprawi tyle ambarasu, ani na odpowiedzialność nie narazi, bo dyskretnie wróci do domu fiakrem, podczas gdy drugi tarzać się będzie po ulicy i wpadnie w ręce policyi.

Lecz szkoda będzie równa w obu wypadkach, w pierwszym może nawet większa niż w drugim. Bo upicie się porterem szampanem lub drogiemi nalewkami daleko znaczniej nadwyrężyć może budżet danej jednostki, niż upicie się zwykłą wódką. Dla tego też wszelkie takie przedsiębiorstwa z tego punktu widzenia jedną należy mierzyć miarą i „jak pić to pić", wszystkie równym poddać przepisom i ograniczeniom.

Na korzyść lepszych tego rodzaju knajp nie można też przytaczać, że są zarazem jadłodajnymi, potrzebnemi dla tych, którzy nie mają własnego gospodarstwa domowego. To samo bowiem i o zwykłych szynkach powiedzieć można. W każdym z nich można dostać obok wódki chleba kiełbasy i sera i to w godzinach, w których piekarnie lub sklepy masarskie są już zamknięte. A chyba wśród ludności robotniczej jest także dużo takich, którzy nie mają własnego gospodarstwa domowego. Dla tych spożyty w szynku kawał kiełbasy ma to samo znaczenie, co rozbratel i sznycel dla gościa pierwszorzędnej restauracyi. Gdyby więc w niedzielę zamykano tylko pierwsze z tych przedsiębiorstw a drugie pozostawiano otwarte, byłoby to skrzywdzeniem ubogich, a faworyzowaniem zamożniejszych.

Śmiesznem zaś jest już mniemanie, tak bardzo u nas rozpowszechnione, jakoby każdy szynk ludowy już z natury rzeczy musiał być rozsadnikiem opilstwa, jakoby w każdym wprost animowano gości do zupełnego upicia się, aż do bezprzytomności. Tak przecież nie jest. Jeśli takie szynki istnieją, to stanowią one bezwątpienia wyjątki i na to jest policya, ażeby tego rodzaju wybryki bezwłocznie usuwała. Olbrzymia większość szynkarzy tak samo uczciwie zarabia na swój byt, jak to czynią wszyscy inni kupcy. Czyż zresztą słyszał kto, iżby twierdzono, że ludzie nie zatruwali by się nikotyną, gdyby nie było... **trafik**? Szynk zaś jest przecież takim tylko takiem samem przedsiębiorstwem pośredniczącem między wytwórcą a konsumentem, jakim jest trafika tytoniowa. Nie szynk winien, że ludzie piją wódkę — lecz winni ci, którzy alkohol produkują i gwałtem się go pozbyć pragną; winne stosunki zarobkowe i społeczne, które ludzi pchają wprost do szukania podniety w alkoholu.

To też, kto pragnie zwalczać alkoholizm musi starać się o to, ażeby usunięte zostały główne jego przyczyny i źródła. Przez samo zmniejszenie **liczby** szynków tego celu się nie dopnie. Osiągnie się tylko to, że podczas gdy dziś w danej dzielnicy żyje z szynków dziesięć rodzin skromnie — potem cztery czy pięć, wolnych od konkurencyi, wprost **bogacić** się będą. Do zwalczania alkoholizmu inną obrać trzeba drogę. Wiadomo, że jest on zawsze nie odpornym towarzyszem biedy i nędzy szerokich kół ludności, że krzewi się bujnie tylko tam, gdzie ludność licho się odżywia i gdzie stoi na niskim stopniu kultury i oświaty. Dajmy ludowi naszemu jedno i drugie, dajmy mu większe zarobki, możność lepszego odżywiania się a sam mniej do kieliszka zaglądać będzie. Jesteśmy też najmocniej przekonani, że gdyby postarano się o budowę kanałów, gdyby przez to ściągnięto do kraju dziewięć milionów na zarobki robotnicze, gdyby przez to otwarto nowe źródła zarobku w przemyśle, sto razy więcej uczyniono by ku wyplenieniu alkoholizmu, niż przez ograniczenie liczby szynków lub przez nakaz zamykania ich od soboty do niedzieli wieczora. A więcej jeszczeby osiągnięto przez szerzenie zdrowej **oświaty**. Socyaliści niemieccy swoimi bojkotami walki zmniejszyli w jednym tylko roku jej konsumcyę w Niemczech o 20 procent. Lecz sukces ten osiągnęli jedynie dzięki temu, że ludność tam oświecona, że można na nią oddziaływać żywem i drukowanem słowem. Dlatego też, ze wszystkich wniosków, jakie zgłoszono na tem ostatnim posiedzeniu Rady uważamy za jedynie **racyonalny** i uznania godny wniosek radcy Dr. **Bandrowskiego**, ażeby utworzono u nas **dom ludowy** i pomnożono liczbę **czytelni ludowych**. Tylko środkami kulturalnemi zwalczać można tę plagę, a nie **ukazami policyjnemi**.

Wnioski, domagające się tych środków, noszą aż nadto widoczne piętno tendencyi **politycznej**,

w tym wypadku chrześcijańsko-socyalno-antysemickiej.

Zwalcza szynki a pragnie się przez to ugodzić w żydów. Tą drogą niczego się nie osiągnie, chyba to tylko, że dziesiątkom i setkom rodzin odbierze się możność uczciwego zarobku i pomnoży się proletaryat. Ani na chwilę nie wątpimy, że wnioskodawcy na ostatniem posiedzeniu Krakowskiej Rady miejskiej kierowali się jaknajlepszą wolą — ale taka wolna wola nie zawsze chodzi w parze z logiką zmysłem praktycznym i znajomością rzeczy. Mniej ani mozyi przeciwko szynkom, a więcej pracy kulturalnej — nam potrzeba w walce z alkoholizmem!

Kanały czy teki?

Piszą nam z Wiednia:

Gdyby wypadło jakiemu objektywnemu spostrzegaczowi, nie obeznanemu z zakulisowymi tajemnicami ostatniego przesilenia, spisać historyę wypadków ubiegłego tygodnia i dokładnie ocenić wszystko, co po dymisyi gabinetu barona Bienertha działo się w Kołach posłów polskich, to chyba oświadczyłby z góry, że nie jest w stanie podjąć się takiego zadania. Na zewnątrz przesilenie wywarło i musiało wywrzeć wrażenie, że spowodowanem było w pierwszym rzędzie kwestyą kanałów. Zresztą naczytaliśmy się wszyscy w ostatnich czasach sporo szumnych artykułów, w których zapewniano nas, że teraz chyba Koło polskie pokazało swoją siłę i dowiodło, że nie myśli zaprzepaszczać kanałów. Ale już w kilka dni po dymisyi bar. Bienertha cała uwaga posłów polskich zwróciła się w całkiem innym kierunku. I to tak dokumentnie, że chwilami miało się stanowczo wrażenie jak gdyby nie kanały były dla Polaków główną osią przesilenia, ale — gonitwa za portfelami ministeryalnemi i za dostojeństwami w Kole. Tych kilka dni, które upłynęły od czasu odroczenia sesyi, stanowić będzie jedną z najsmutniejszych kart w historyi reprezentacyi polskiej w parlamencie.

Aby dokładnie ocenić całą śmieszność wszystkich intryg, zabiegów i prób kompromisów, którym w łonie Koła polskiego poświęcono tyle czasu, trzeba przedewszystkiem wskazać na to, że po dziś dzień nikt nie ma pojęcia o tem, jak się właściwie ukształtnją stosunki wewnętrzno-polityczne w najbliższym czasie. Po za jednym faktem, który można uważać za prawie pewny, że baron Bienerth otrzyma polecenie utworzenia nowego gabinetu, wie się tylko tyle, że dotychczas baron Bienerth absolutnie nie poczynił żadnych kroków, zmierzających do rozwiązania zadania, które mu ma przypaść w udziale.

A nie wie się, czy nowy gabinet będzie urzędniczy, czy parlamentarny, czy też na pół parlamentarny. Nie wie się, czy uda się na wypadek, gdyby zapadła decyzya utworzenia gabinetu parlamentarnego, skleić koalicyę wielkich stronnictw narodowościowych, bo chwilowo nie można wydać żadnego sądu o wyniku praskiej akcyi ugodowej, który w każdym razie będzie niejako główną podstawą gabinetu koalicyjnego. — A tu tymczasem obradowało się przez cały tydzień z takim zapałem nad rozdaniem tek, jak gdyby ugoda czesko niemiecka dawno już była zawarta i jak gdyby sprawa utworzenia gabinetu parlamentarnego od tego tylko zależała, kogo Polacy zechcą zareprezentować jako swego kandydata. A obradowano tak zapalczywie, że zupełnie zapomniano o właściwej przyczynie przesilenia, t. j. o kanałach. Inaczej trudnoby było mianowicie pojąć dziki pomysł endecyi pertraktowania z ludowcami w kwestyi postawienia kandydatury ministeryalnej tegoż właśnie posła, który w ostatnich czasach nie bez słusznej przyczyny uchodził właśnie za największego przeciwnika budowy kanałów. Sapienti sat! Jeśli Koło polskie życzy sobie, aby kraj istotnie darzył je zaufaniem, to musi tym razem nieco inaczej traktować przesilenie, niż to się zazwyczaj dzieje w czasach, w których są do nabycia teki ministeryalne. Nie o portfele nam idzie, jeno o kanały!

Spectator.

Korespondencye.

Bochnia, 24 grudnia 1910.

System rozbijania zgromadzeń prowadzony przez naszych wszelkiego rodzaju radykałów wydał już swoje owoce. Skorzystało z niego najsprytniejsze ze stronnic w narodowi demokraci. Świadomi dokładnie swojej niepopularności wiedzą dobrze, że w zachodniej Galicyi każde ich publiczne zebranie socyaliści, ludowcy i chrześcijańsko społeczni rozbiją. Wyciągnęli z tego konsenkwencye i prowadzą akcyą konwentyklem. U nas w Bochni, gdzie życie polityczne prawie nie istnieje, gdzie polityką zwie się pieczenie własnego interesu, na rożnie budowy wodociągów lub innych inwestycyi, w tej Bochni wre i kipi życie polityczne wszechpolskie. Odbywają się tu zgromadzenia za zaproszeniami na które nie wejrze się nikt kto nieotrzyma wezwania. Przyjeżdżają tu menerzy wszechpolaków, kilka razy do roku bywa tu prof. Grabski, propagując wszechpolskie paradoksy. Samaż tutejsza grupa tego stronnictwa urządza często konwentykle, członkowie zaś jej jednają prywatnie nowych członków, czapką i papką. Robota oto ocywiście krecia i niemoralną przyznać jednak należy że mądrze obmyślana. Przy najbliższych wyborach zjawi się niespodzianie potężne stronnictwo wszechpolskie. Pokaże ono zapewne wtedy dopiero właściwe pazury — wtedy się okaże, że gra ono jedynie na najgorszych i styktach ludzkich, że starannie ukrywanym a właściwym ich celem i ich ideą jest skrajny szowinizm wobec Rusinów a antysemityzm wobec żydów. Sądzimy, że Bochnia nie jest co do tego wyjątkiem, że taka sprytna, tajna, podziemna i krecia robota konwentyklowa dzieje się w całym kraju.

Z nowym rokiem wznosimy — bodaj nie napróżno — stare żale. W mieście, które ma ruch i komunikacyę z Krakowem tak ożywioną, które kolei tyle daje zarabiać niestają wcale pociągi błyskawiczne. Dla Jaśnie Panów z Łańcuta i Przeworska zatrzymują się one w tych mieścinach, dla całej rzeszy inteligencyi i kupców bocheńskich w Bochni się nie zatrzymują. Jest to skandalem że pociągi błyskawiczne zatrzymują się w Mährisch Weisskirchen, no — ale tam jest kadecka szkoła — w Bochni niema kadeckiej szkoły, jest tylko kilkanaście tysięcy obywateli, którzy płacą podatki na utrzymanie armii i dynastyi. Całe miasto zamierza rozpocząć walkę z ministerstwem kolei, żądając aby mogli korzystać z praw przysługujących obywatelom monarchii.

Gdzież są nasi „Staatseisenbahnraty“ z krakowskiej Izby handlowej?

Tarnów, 24 grudnia 1910.

Dzięki nienależytemu funkcyonowaniu c. k. poczty, z której winy zeszłotygodniowa korespondencya, gdzieś w drodze z Tarnowa do Krakowa znikła, umieszczamy dziś sprawozdanie z posiedzenia Rady miejskiej z dnia 16 b. m. ważne dla dwóch uchwał, jakie na niem zapadły. Rada uchwaliła wystosować do Koła polskiego wezwanie do energicznego obstawania za budową dróg wodnych, a na uczczenie 60-cio letniej rocznicy śmierci jenerała Józefa Bema, wmurować w ścianę domu, w którym się Bem urodził, tablicę pamiątkową z popiersiem jenerała.

Na temsamem posiedzeniu przyjęto do wiadomości sprawozdanie komisyi kontrolującej z zamknięć rachunkowych za r. 1909, omówiono warunki i instrukcyę dla dzierżawcy miejskich opłat od wódki, piwa i miodu i załatwiono jeszcze kilka mniej ważnych spraw.

We czwartek 22 odbyło się znowu posiedzenie Rady miejskiej z jednym tylko punktem porządku dziennego: „Wynik przetargu“ przeprowadzonego celem wydzierżawienia na lat 3, począwszy od 1 stycznia 1911 prawa poboru opłat gminnych od napojów spirytusowych, piwa i miodu.

Po dłuższej dyskusyi, w której zabierali głos pp. r. Smalc, Holzapfel, Dr. Schützer, Kupfer, Dr. Rapaport, Dr. Ringelheim, Schwanenfeld, Wójcicki i Dr. Merz, uchwalono wydzierżawić prawo poboru wyżej wymienionych opłat, spółce „Samuel Biegeleisen i Majer Löw“ za 136.200 K, nie uwzględniono natomiast oferty Stowarzyszenia gospodario-szynkarskiego, które początkowo ofiarowało 90.000 K, a dodatkowo wniosło ofertę na 122.000 K.

W Tarnowie zaczynają już samobójstwa być na porządku tygodniowym. Już drugi tydzień z rzędu zdarzyły się u nas wypadki tego rodzaju. W niedzielę powiesił się woźny Rady powiatowej, zeszłego tygodnia odebrał sobie życie wystrzałem z rewolweru elektro-technik, przedsiębiorca instalacyi światła i siły elektrycznej. Chociaż oficyalnie nie znają powodu tego samobójstwa, to przecież po mieście krążą pogłoski, że kłopoty finansowe popchnęły go do tego kroku. Kilkanaście tysięcy włożył w różne roboty, a zapłatę miał dostać po puszczeniu elektrowni w ruch, a ponieważ się to o kilka miesięcy opóźniło, został bez grosza. Zapewne i A. E. G. Union, która tu wykonuje sieć przewodów elektrycznych i kosztem gminy łączy domy prywatne, taksamo dała się nieboszczykowi we znaki, jak i innym przedsiębiorstwom prywatnym. Dziwimy się tylko, że Magistrat na to pozwala, aby firma, bądź co bądź obca, wyposażona w zapas pruskich marek w swojej zachłanności, szykanowała swojskich przedsiębiorców, którzy w prawdzie nie mają pruskich kapitałów, ale chcą uczciwie zarobkować.

Na 22 i 23 c. k. Starostwo wezwało kilkunastu obywateli, których ma wsprawie osławionego protestu przesłuchać.

Jeśli protest nie zostanie uwzględniony, wejdzie do Rady także p. B. S, obywatel kolbuszowski który pieniądzmi i biciem dostał się do Rady. Za pobicie pewnego szynkarza podczas wyborów gminnych panu temu dopiero w tym tygodniu wymierzono 5 dni aresztu zamienionego na 200 K. Pan B. S. przepadł w III Kole pomimo bardzo silnego poparcia go przez syonistów ale złotem obałczony przelazł przez mur drogiego Koła, a z wdzięczności za poparcie syonistów wypiera się potem w różnych dziennikach, przynależności do tej partyi.

A propos partyi syońskiej. Zwołała na środę 21 zgromadzenie ludowe, na którem chciała koniecznie nakłonić wszystkich żydów tarnowskich, a przynajmniej obecnych, żeby podczas spisu ludności podali jako język towarzyski „żargon“. W tym samym celu i Ż. P. S. ubiegłej soboty zwołała zgromadzenie. Czy im to się uda, bardzo wątpimy.

Sigma.

Nowy Sącz, 24 grudnia 1910.

(Opłakane stosunki szkolne. — Księgarnia kolejowa. — Z Czytelni Kobiet. — Odczyt o Tołstoju. — Z obozu socyalistycznego. — Wiec urzędniczy. — Przedstawienie amatorskie.

Z nadejściem roku 1910 zniesioną została w naszym mieście szkoła im. Hirscha, która mając język wykładowy polski szerzyła kulturę europejską wśród uczniów, będących synami zacofanych fanatyków-chasydów.

Czy powód zniesienia tej szkoły jako taki był racyonalny, w to się nie wdajemy, chodzi tu o smutne następstwa, jakie fakt zniesienia za sobą pociągnął.

Rzecz naturalna, że uczniowie (szkoła ta bowiem była wyłącznie męzką) pozbawieni przybytku oświaty, zmuszeni zostali szukać tejże w innych szkołach ludowych miasta naszego, wywołując naturalnym biegiem rzeczy niebywałe przepełnienie.

Zupełnie usprawiedliwionemi w opinii publicznej są

władze szkolne odnośnie do przepełnienienia i tniejącego roku szkolnym 1909/10, ale ciężki zarzut spotyka je za to, że w bieżącym roku szkolnym kontynuowali swój oszczędnościowy system.

Bo przecież przewidzieć można było, że taksamo jak w ubiegłym roku szkolnym tak i w bieżącym owi adep i bar. Hirscha znowu będą musieli znaleść pomieszczenie w istniejących zakładach.

Prawie że fizyczną niemożliwością było wybudowanie nowej szkoły, ale zupełnie łatwem było urządzenie jakiejś filii bodaj w prywatnem budynku i proporcyonalnie w stosunku do liczby uczniów i ilości, tudzież rozmiarów sal uczniów rozdzielić, a co ważniejsze zwiększyć liczbę nauczycieli.

Stojącym poza stosunkami szkolnymi nie daje się ta kwestya tak odczuć, zwłaszcza, że nie wszyscy wiedzą o tem, iż w niektórych klasach znajduje się blizko **siedemdziesięciu uczniów**.

Każdy zrozumie, jak przykre następstwa sprowadzają takie zgangrenowane stosunki na hygienę szkolną, której przepisy w istniejących warunkach stosować byłoby rzeczą bezskuteczną, pomijając już szkodliwy wpływ, jaki obecność tak wielkiej ilości uczniów w jednej sali na ich młode organizmy wywiera.

Lecz — nie koniec na tem.

Nawet najintenzywniejsza praca nauczycieli nie zdoła objąć szerokiego zadania, jakie na nich nałożono, skazując ich na kształcenie w ciągu jednej godziny kilkudziesięciu uczniów, których utrzymanie w karbach już samo przez się jest pracą niszczącą i nader dla zdrowia nauczycieli szkodliwą.

Dotychczas dzienniki sprawy tej wcale nie poruszały.

Czy nie wiedziały o tem — nie wiemy, ale mamy nadzieję, że może na tej drodze zdołamy wzruszyć powołane czynniki, na których sumienie wszystkie, już teraz przewidzieć się dające następstwa powyżej skreślonych stosunków niewątpliwie spadną.

Z wielu stron słychać narzekania, że w nowo wybudowanym dworcu kolejowym umieszczono księgarnię kolejową w tak niedogodnym miejscu w poczekalni klasy trzeciej, że podróżni nie mogą stanowczo w krótkich przerwach odszukać kryjówki owej księgarni, którąby przecież ku ogólnemu zadowoleniu stron a bez uszczerbku dla władz kolejowych umieścić można w westybulu lub na peronie.

Od lat pięciu istniejąca Czytelnia kobiet odbyła onegdaj doroczne Walne Zgromadzenie, którego sprawozdanie wykazuje nadzwyczajny rozwój tej kulturalnej i filantropijnej instytucyi.

Stowarzyszenie to, liczące blizko 200 członków, posiada kilkanaście czasopism i bibliotekę obejmującą około 800 dzieł.

Wybory do zarządu przedstawiają się następująco:

Przewodniczą a: Helena Dudzińska, zastępczyni: Stanisława Marynowska, sekretarki: Mirnicka Marya i Kościelecka Marya, skarbniczki: Silbermanowa Helena, Misiewiczówna Helena, gospodynie: Flisowa, Fiedlerowa, Wisłowska, Silbermanowa Gizela, bibliotekarki: Obrzutówna, Dutczyńska Helena, dziennikarki: Zarucka i Jasińska M., komisya kontrolująca: Löschówna i Ameisenowa.

Co kilka tygodni odbywają się w własnym lokalu Czytelni pogadanki literackie, odczyty i zebrania towarzyskie połączone często z zabawą taneczną.

W ubiegłym tygodniu urządziła Czytelnia uroczysty wieczór ku czci Maryi Konopnickiej, którego program wypełniły: Słowo wstępne p. Lidyi Kossowskiej; deklamacya p. Schöllermanówny: „Jaś nie doczekał" i „Przed sądem" M. Konopnickiej; śpiew p. Ciesielskiej i wreszcie gra na fortepianie p. Iszkowskiej. Sukces artystyczny wieczorku bardzo wielki..

Piękny odczyt o Tołstoju wygłosił z ramienia Uniwersytetu ludowego w sali Kasyna cywilnego p. Czapiński z Krakowa, który scharakteryzowawszy działalność Tołstoja jako etyka, literata i anarchisty przeprowadził trafne porównanie Tołstoizmu z ideą socyalistyczną. Mówcę nagradzano zasłużonymi oklaskami.

Miejscowa organizacya P. P. S. D. urządziła w dniu 11 bm. wielkie zgromadzenie drożyźniane, na którem referował poseł Hudec. Po omówieniu przyczyn dzisiejszej drożyzny, dając się we znaki wszystkim stanom, napiętnował mowca politykę agraryuszów, doprowadzają ych drożyznę do ostatnich granic. Minister finansów przechwala się, że podatki od ceł zbożowych dały więcej dochodów niż podatki od zboża produkowanego w państwie. Mięso argentyńskie w takiej ilości w jakiej ma do nas przychodzić, jest prostym szwindlem mającym mydlić oczy, że rząd coś robi dla zmniejszenia drożyzny. Największą korzyścią z obecnej sesyi parlamentarnej jest uchwalona ustawa o budowie tanich domów, gdzie rząd zobowiązał się ręczyć za pożyczki do wysokości 200 milionów koron. Warunki pożyczek są niezwykle dobre, bo mający 10 % gotowego kapitału, może dopożyczyć na budowę domu 90 % kapitału.

Po ożywionej dyskusyi uchwalono rezolucyę, piętnującą politykę Koła polskiego i stronnictwa burżuazyjnych za ich wstrętne stanowisko wobec projektów antydrożyźnianych a wyrażającą posłom socyalistycznym za ich niezmordowaną pracę wotum zaufania.

Zgromadzenie zakończono odśpiewaniem „Czerwonego sztandaru".

Miasto nasze nie pozostało w tyle za innemi, bo i u nas zwołano wiec urzędniczy, który się odbył w sali ratuszowej pod przewodnictwem radcy Dra. K . kiego.

Referat o położeniu klasy urzędniczej wygłosił sekretarz skarbu Stanisław Obrzut. Mówca postawił dwie rezolucye a zakończył apelem, aby wśród urzędników nie było dzikich, lecz aby wszyscy należeli do zawodowych Towarzystw urzędniczych.

W dyskusyi nad rezolucyami zabierali głos pp. Uranek, Gross, Mika, Przychocki, Pilzer i inni. Uchwalono szereg rezolucyi, domagających się 20-procentowego dodatku drożyźnianego i szybkiego zrównania dodatku aktywalnego z kwaterowem oficerów i urzędników, wojskowych, które z dniem pierwszego stycznia 1911 roku mają wejść w życie.

Staraniem Towarzystwa gimnastycznego „Sokół" odbyło się amatorskie przedstawienie, na którem odegrano sztukę Korzeniowskiego „Panna mężatka". Pięknie wykonali role: pp Jan Małecki, Jan Weiner, Adamczyk, Młyniec, p. Godfregówna i Połotnicka. Reżyserem sztuki był p. Małecki.

Tarnów, 24 grudnia 1910.

(Posiedzenie Rady miejskiej. — Samobójstwo. — Sporty w Tarnowie.

We czwartek z tygodnia odbyło się posiedzenie Rady miejskiej pod przewodnictwem burmistrza, Dra Tertila, na którem załatwiono cały szereg spraw bieżących, poczem przystąpiono do załatwienia dwóch ważniejszych spraw, które zatrzymały Radę do $9^1/_2$ wieczorem, a mianowicie sprawozdanie Komisyi kontrolującej ze zamknięć rachunkowych za rok 1909, i sprawa przetargu na wydzierżawienie poboru opłat gminnych od wódki, wina i miodu.

Na samym wstępie uchwalono wysłać do Koła polskiego wezwanie, żeby dalej z całą stanowczością domagało się budowy kanałów, a pamięć jenerała Józefa Bema uczcić, umieszczając na domu, w którym w Tarnowie mieszkał, tablicę pamiątkową.

Dr. Ringelheim przedłożył w dłuższym i sumiennie opracowanym referacie sprawozdanie Komisyi kontrolującej, które uchwalono, udzielając Magistratowi absolutorium, a rachmistrzowi 300 K remuneracyi.

W ubiegłym tygodniu zastrzelił się w Tarnowie elektrotechnik, ś. p. Bobrich z powodów nieznanych. Krążą jednak pogłoski po mieście, po części prawdopodobne, że denat odebrał sobie życie z powodu kłopotów finansowych. Wykończył różne roboty instalacyjne, w które włożył mały kapitalik, a zapłaty mógł dopiero się spodziewać, aż gmina dostanie koncesyę na światło. Jak nas jeszcze informują tak zarząd miasta jak i firma A. E. G. Union, która w Tarnowie objęła wybudowanie sieci elektrycznej dla światła i kosztem miast wykonuje połączenia do domów prywatnych, szykanują przedsiębiorców prywatnych, którzy się tu osiedlili lub filie założyli. Jest to bardzo nielojalne postępowanie firmy bądź co bądź obcej — wobec naszych krajowych przedsiębiorców, którzy nie mając zapasu pruskich marek, chcą uczciwie zarabiać. Możeby też Magistrat tę rzecz dokładnie zbadać raczył.

Sigma.

Przemyśl, 24 grudnia 1910.

(Zwycięstwo Tartuffe'a-prokuratora — „Całus".— Pan traci — chłop płaci.)

Piękne zwycięstwo święciło przed Bożem Narodzeniem prowincyonalne świętoszkostwo, które nosi ze sobą pewien wysoki dygnitarz tutejszej prokuratoryi państwa. Pogodne oko tego złotokołnierzowego dozorcy moralności publicznej poraziła srebna papierośnica z miniaturową reprodukcyą obrazka „Całus" z albumu słynnego malarza i rysownika barona F. Reznicka. Papierośnica ta długi czas leżała sobie za oknem wystawowem sklepu ubilerskiego p. D. Löwenthala przy ul. Franciszkańskiej, póki prokurator nie polecił policyi, by „niebezpieczną" papierośnicę skonfiskowała, i oddała sądowi, który pewnie pociągnie nieostrożnego jubilera o przekr z § 516 w. k. Na prowincyi zaś istnieją tedy jeszcze tacy prokuratorowie których rażą półnagie kobiety, w „lubieżnem przegięciu" — całowane w piersi przez mężczyznę... W tym wypadku prokuratorya była „policyjniejszą" od samej policyi, która zresztą nieraz lubi przymknąć jedno zezujące oczko lub oboma oczkami patrzy przez palce na niejedno prawdziwe nadużycie.

Zresztą władza bezpieczeństwa nie musi chcieć wszystko wiedzieć. Są niektóre zjawiska które już sama opinia publiczna należycie kontroluje, zanim wyrobi sobie sąd o nich i stosunki władzy do nich, tak np. nie ulega wątpliwości, że niektóre organy policyjne dobrze wiedzą o mnipulacych biura kart okrętowych, znajdującego się pod bokiem dworca kolejowego. Praktyki tego biura z biednymi emigrantami są tak drażliwe, a kontrola ekspozytury na dworcu taka jakoś dziwnie „osobliwa", że mimowoli budzi się podejrzenie o jakieś tajemniczem porozumieniu między owem biurem „okrętowem" a poszczególnymi funkcyonaryuszami władzy bez wiedzy ich zwierzchności. Na tym zaczepno-odpornym przymierzu dobrze pewnie wychodzą właściciele biura okrętowego i owi usłużni funkcyonaryusze policyjni, koszta zaś tego pokoju boże opłacą biedni ciemni i bezradni emigranci, będący towarem zmonopolizowanym przez pijawki emigracyjne. Na razie to malutkie ostrzeżenie.

Rzeszów, 24 grudnia.

(Budżet gminy. — Walka opozycyi w Radzie miejskiej. Samobójstwa.)

W zeszłym tygodniu odbyło się posiedzenie Rady miejskiej, na którem przystąpiono do obrad nad budżetem. Magistrat strasznie się niecierpliwił tą sprawą i chciałby ją jak najprędzej załatwić, bo niepokój i niepewność, jaką przynosi za sobą obawa przed niedawno stworzoną opozycyą, nie tylko denerwuje tę partyę, lecz także nasuwa bardzo prawdopodobne przypuszczenia, że wiele uchwał wypadnie może nie po myśli magistratu. Tyczy się to przedewszystkiem podwyższenia pensyi urzędnikom i prezydyum, bo przy tej sposobności najlepiej poznać się daje duch magistracki, dobrze wynagradzający swych zauszników, traktujący ludzi sobie niewygodnych z wielkim wyzyskiem. I tak np. starszy inżynier ma pobierać minimalną pensyę w kwocie przeszło trzech tysięcy koron, podczas gdy jego uczeń, niedawno przyjęty, a nie posiadający jeszcze drugiego egzaminu p. Jaśkiewicz, mniej zdolny ale więcej powolny przeróżnym panom z magistratu, ma otrzymać blisko pięć tysięcy koron rocznie. Nie mówi się już o sekretarzu p. Szajnowskim o jego poborach 7000 koron. i td. Czyż doprawdy nie znajdą się w Radzie miejskiej ludzie, którzy poprostu nie pozwolą wodzić się na pasku w tak zasadniczych rzeczach intrydze i zaściankowym zawiściom? Czyż mimo całego wzburzenia w tej sprawie jakie panuje w mieście nie będą się choćby niektórzy radni powodować sprawiedliwością i czy dadzą odpowiednią naucz kę folwarcznej gospodarce? O tem warto pomyśleć. Atoli natem miejscu musimy zanotować charakterystyczne momenty z dotychczasowej dyskusyi, które w pierwszej linii wykazały że magistrat nie może wyjść z podziwu z powodu zjednoczenia się kilku radnych przeciw niemu. Jakto! więc to doszło wreszcie do tego, by ktoś śmiał w tych starych murach, gdzie się przychodziło na wszystkie posiedzenia z wszelką pewnością akceptowania przez pełną Radę wniosków magistrackich, powiedzieć: dosyć! my czegoś podobnego dłużej znieść nie jesteśmy w stanie? Głupio tylko w całej tej opozycyjnej historyi znalazł się stary antysemitnik Dr. Nieć, który się pławił wśród frazesów i na nich też skończył. Znamienną była mowa p. Szajnoka, który cyfrowo i rzeczowo wykazał w gospodarstwie miejskiej brak jakiejkolbądź myśli przewodniej.

Jak przewidywać można było wybuchła na poniedziałkowem posiedzeniu Rady miejskiej bardzo poważna walka przeciw większości. I jakkolwiek nie zdołała opozycya wynieść z całego szeregu posiedzeń choćby najdrobniejszej zdobyczy, lecz sam fakt jej wystąpienia jest tak znamiennym, że trudno go sobie lekceważyć. W każdym zaś razie magistrat będzie się musiał odtąd liczyć z konsekwencyami, jakie zwykle przynosi ze sobą obstrukcya, którę prezentował tak poważny i powszechnie poważany radny jak nadradca Dobija. Mówił on bardzo długo, a przedewszystkiem rzeczowo. A najbardziej zdziwił wszystkich fakt, że burmistrz dopuścił do postawienia wniosku, by mu znów dotacyę powiększono. Dalej dowodził r. Dobija że choć nie widzi z tej chwili żadnego kandydata na stolec prezydyalny, to jednak nie wyklucza to pewnego chociażby h mowania burmistra w nagromadzaniu w swoich rękach wielkich honorarów za swe usługi, które są teraz aż nadto wynagradzane. Wkońcu oświadcza r. Dobija, że wobec podobnych stosunków które uniemożliwiają wprost odpowiednie i godne zastępowanie w tej sali interesów mieszkańców, będzie on zmuszony ustąpić z zajmowanej dotychczas godności radnego, bo wszelkie usiłowania w tym kierunku podejmowane rozbijają się o stronniczą politykę większości

I rzeczywiście na drugi dzień zgłosił r. Dobija swą rezygnacyę.

Na ogół wszystkie mowy opozycyjne, wypowiedziane na posiedzeniach budżetowych, były wcale przekonywujące; wywody te, poparte odpowiedniemi cyframi i wyciągami ze statystyk i aktów, zrobiły wcale dobre wrażenie.

W sprawie p. Królikowskiego również okazał magistrat wielki nietakt, nie chcąc mu podwyższyć w odpowiedni do swych urzędników stosunku płacy.

Natomiast osławiony p. Żurowski, nieszczęśliwy poszukiwacz wody do wodociągów, uzyskał taką płacę o jakiej sam nie marzył nigdy; a jak się dowiadujemy z możliwie autentycznego źródła, to w najbliższej przyszłości nawet jego biało-żółty kundys, towarzyszący panu inżynierowi we wszystkich komisyach, m otrzymać specyalny dodatek za trudy uganiania po błotnistym gruncie.

W ubiegłym tygodniu otrzymano u nas aż dwóch samobójców. Jeden i drugi przeszedł zapewne całą tragedyę jaka wyryła w ich sercach nieprzebraną gorycz i popchnęła w objęcia śmierci. Pierwszy — to kapral rachunkowy 40 p. p. Górski, który nie mógł przetrawić w sobie i spalić bez śladu ciężkich katuszy moralnych, jakie przechodzi niezawodnie każdy inteligentny człowiek w służbie wojskowej — ś. p. Bolesław Górski został bowiem jako uczeń seminaryum nauczycielskiego wzięty w rekruty. Drugi — to młodzieniec zdolny, powszechnie lubiany, którego znów porwało życie wielkomiejskie w swe nieubłagane tryby, zgniotło, zmiażdżyło, aż pozostawiło pustkę zupełną. Ś. p. Zwoliński, uczeń lwowskiej szkoły średniej, uciekł z tego nienawistnego wiru, był hen z dala od swoich, wśród obcych twarzy, znaleść z dziwną determinacyą śmierć na otwartej alei, dowodząc przed zgonem, że będzie odtąd ptakiem niebieskim, którego godłem jest krzyż.

Zastępca.

Krakowski Tydzień muzyczny.

Istotnie wyjątkowym tygodniem in punkto ruchu muzycznego, był ubiegły tydzień muzyczny, w którym nie odbyła się ani jedna produkcya. — Grająca i śpiewająca rzesza musiała ustąpić przed przygotowywaniem placków, strucli, kutii i tym podobnym doskonałym rzeczom zasadniczo bardziej strawnym od niejednej produkcyi któregoś, jeśli nie zaszczytnie, to co najmniej sympatycznie znanego lub znanej. Od tygodnia rozlegają się echa prób produkcyj kolen-

do publicznego przeglądnięcia lista wyborców z okazyi zbliżających się wyborów na 18 radnych miasta. Wobec organizowania sił przez klerykalną mafię, powinni postępowi wyborcy listę wyborców przeglądnąć i ewentualnie o swe prawo reklamacyą się upomnieć.

W dalszym ciągu środowego posiedzenia rozpoczęto rozprawę budżetową, o której nie omieszkam donieść, poczem burmistrz życzeniem wesołych świąt oraz zaproszeniem pp. radnych na dalszą rozprawę na wtorek zamknął posiedzenie.

We wtorek 20 b. m. wystąpił wirtuoz-skrzypek prof. dr. Kneisel z Paryża z koncertem ze współudziałem 16-letniej wiele zapowiadającej kompozytorki pianistki Kneislówney.

Piękny program, ze wszech miar artystycznie wykonany, wprost rozentuzyazmował licznie zebraną publiczność.

Koncert wywarł tak silne i głębokie wrażenie, że tutejsi melomani zaprosili p. Kneisla na powtórny koncert. Staraniem komitetu, złożonego z najprzedniejszych obywateli, urządzono w salach tut. szkoły realnej wystawę architektoniczną, oraz artystyczno malarską, którą w piątek 23 t.m. o godz. 12-tej w południe otwarto. Wystawa nie jest jeszcze zupełną, gdyż wielu artystów przyrzeczonych dzieł nie nadesłało. Aranżerami wystawy są inżynier architekt Jan Stobiecki, oraz prof. szkoły realnej p. Kaniak, którzy bardzo wiele własnych utworów wystawili. Wystawa potrwa do 15 stycznia. Nie omieszkamy dlatego bliżej i szczegółowo wystawę opisać. *b.*

Zamordowany w powrocie z pasterki.

Z Jarosławia otrzymaliśmy wczoraj rano następujący telegram:

Jarosław. Dzisiejszej nocy około 2-giej po północy dokonano obok cerkwi u wylotu ul. Sobieskiego strasznego morderstwa na osobie 28 letniego Karola Sokoła, czeladnika kominiarskiego, przybyłego wczoraj w sobotę z Drohobycza do Jarosławia do swej staruszki matki na święta w odwiedziny. Wracając z pasterki w towarzystwie znajomych, Sokół usłyszał, że czeladnika krawieckiego, Reinholda, jacyś kaprale napadli i poszedł z ciekawości zobaczyć, co tam się dzieje. Wówczas uderzono go kołem 2 metrowej wysokości, wyrwanym z pobliskiego parkanu, skutkiem czego Sokół padł natychmiast bez życia.

Śledztwo jest utrudnione, ze względu na wiele osób, bo przeszło 20, którzy byli w gościnie u stróża Sowińskiego. Podejrzenie jednak pada na dwóch cywilów i trzech kaprali z 89 p. p. Jest nadzieja, że policyi uda się jeszcze w ciągu świąt wykryć właściwych sprawców zbrodni.

Romans ubogiej królewny.

Jesteśmy w Wissemburgu na ziemi alzackiej. Mieścina o wyglądzie dotąd jeszcze bardzo staroświeckim, jakby zakonserwowana najpiękniej z XVIII wieku. Nic prawie się nie zmieniła, tak, że nie dziwiłbyś się, ujrzawszy nagle idącego pustą ulicą lub placem ...zdetronizowanego króla Stanisława Leszczyńskiego.

Leszczyńskiego?

Tak właśnie. Straciwszy możnego swego protektora, Karola XII, złożywszy koronę polską, wyzuty z księstwa Zweibrücken (de Deux-Ponts), schronił się Leszczyński z rodziną i rodzajem dworu do małej, zapadłej mieściny alzackiej i — zarezydował.

Dom, który zajmował, stoi do dziś dnia w Wissemburgu. Nieduży, niepokaźny dom. Należał wówczas do niejakiego Webera, który go bez żadnej indemnizacyi oddał królowi-wygnańcowi na usługi. Zalokował się w nim Leszczyński z małżonką, z córką Maryą, z siostrzenicą księżną Anną Jabłonowską, z marszałkiem dworu Mniszkiem, z Tarłem reprezentantem eks-króla u dworów zagranicznych, z adjutantem Wimptem, z sekretarzem przybocznym Biberem, z trzema damami przybocznemi dworu eks-królowej i z pięciu oficerami a la suite. Rodzina królewska zajęła główny korpus jednopiętrowego domu; w skrzydłach zamieszkała świta.

W cichej tej, skromnej, na partykularzu Europy „rezydencyi" smutny żywot wiodła zwłaszcza królewna Marya. O los jej troskał się król Stanisław. Nie wydać przeto królewny za byle kogo. A królewicza „z bajki" jak nie widać, tak nie widać. W prawdzie prosił o jej rękę margrabia de Courtenraux, wnuk słynnego Louvois, ale nie był nawet księciem. Starał się o ten tytuł i nie dostał go; więc rekuzę otrzymał. Potem coś, jakby margraf Badeński zamierzał żenić syna swego z królewną Maryą, ale też nie była to dla niej partya dosyć świetna.

Martwił się król Stanisław.

Aż oto nagle wystąpiła ze swatostwem pani de Prie, zabiegając o rękę królewny Maryi dla księcia de Burbon. Wlokło się to całe dwa lata. Nareszcie Burbon za pośrednictwem marszałka de Courg oświadczył się! Dano mu odpowiedź przychylną, a pani de Prie przysłała w te pędy do Wissemburga malarza, aby co tchu portret malował królewny Maryi i wiózł go do Paryża dla pokazania Burbonowi, który narzeczonej swojej nigdy własnemi nie oglądał oczami.

Przybył tedy „na dwór króla Stanisława" renomowany artysta, Piotr Gobert i przez dni dwadzieścia tworzył konterfekt Maryi Leszczyńskiej. Gdy atoli portret — prześliczny, uderzający podobieństwem, jak zaklinał się Gobert — przywieziono do Paryża, książę de Burbon już był zamiary swoje odmienił. Odbiegła go ochota żenienia się wogóle, a pani de Prie miała już co innego na głowie. Trzeba było na gwałt żenić samego króla. Właśnie odkosza dał królewnie hiszpańskiej, a żadnej stosownej dlań partyi nie było — chwilowo — w Europie.

I wówczas to przyszła pani de Prie na myśl — królewna Marya. Portret jej, przeznaczony dla Burbona, powędrował w ręce króla, a sztafety najpilniejsze poleciały do Wissemburga. Pięknego poranku król Stanisław wszedł rozpromieniony do pokoju córki i rzekł: „Bogu złóżmy dziękczynienia! Zasiądziesz na tronie Francyi".

Jakoż uboga królewna, wyszywająca na krosienkach w domu Webera i podlewająca kwiatki w ogródku wissemburskim, przywdziała koronę i zamieszkała w najwspanialszych apartamentach wspaniałego Wersalu. Nadaremnie usiłowano rozbić małżeństwo króla Ludwika z polską królewną. Oszkalowano ją że cierpi na nieuleczalną chorobę, atoli medycy królewscy wydali przeciwną, a najsumienniejszą opinię. Gdy zaś zażądano przysłania do Paryża z Wissemburga rękawiczki, sukni i trzewik królewnej Maryi na miarę dla wyprawy, delegowany w tej misyi kawaler de Vauchoux odpisał, że przywozi tylko pantofelek dostojnej narzeczonej, albowiem królewna Marya nosi tylko pantofelki, a trzewików ma jedną tylko parę, używaną wyłącznie do tańca i — niewygodną, tedy na model się nie przydadzą. Taka była niezmierna prostota tualetowa przyszłej królowej francuskiej...

Od wydawnictwa.

Następnym numerem rozpoczyna „Gazeta poniedziałkowa" drugi rok swego istnienia. W ciągu ośmiu miesięcy, od wyjścia pierwszego numeru „Gazeta poniedziałkowa" zyskała sobie ogólne uznanie i wzięcie tak w Krakowie, jak i na prowincyi.

Stojąc na gruncie szczerze demokratycznym, „Gazeta poniedziałkowa" zajęła w prasie galicyjskiej stanowisko bezstronnego informatora, piętnującego wszystko i wszystkich, którzy na napiętnowanie zasłużyli, podnoszącego zaś to, co podnieść naprawdę należało. Staraliśmy się chwytać życie polityczne tak, jak ono się w całej swej potędze przedstawiać i oświetlać wypadki ze stanowiska bezstronnego, a szczerze demokratycznego.

Patrzyliśmy na wszystko z punktu widzenia interesów ekonomicznych kraju, a nie przez brudne szkiełka partyjnych celów i dążeń. Dzięki temu zyskaliśmy poparcie PT. Publiczności i uznanie.

„Gazeta Poniedziałkowa" prawie jedyne pismo, podające najświeższe wypadki z niedzieli już o godzinie 6 rano w poniedziałek, podająca niezwykle liczne telegramy własne, nadsyłane w nocy przez naszych korespondentów z Wiednia, Berlina i Paryża, wychodzić będzie nadal w tym samym duchu i kierunku, jak dotąd.

Prosimy więc odnowić prenumeratę na nowy rok.

Prenumerata na rok wynosi 6 koron.

Telegramy.

Gratulacye noworoczne dla cesarza.

Wiedeń. (*Tel. wł. Gazety Poniedziałkowej*). Gratulacye noworoczne dla cesarza będzie przyjmował w sobotę 31 b. m. od godz. 8 do 10 wieczór w burgu wiedeńskim pierwszy marszałek dworu, Alfred książę Montenuovo.

Reforma wojskowa w Austro-Węgrzech.

Budapeszt. (*Tel. wł. Gazety Poniedziałkowej*). „Pester Lloyd" donosi, że w najbliższym czasie przedłożony zostanie w obu parlamentach, w Wiedniu i Budapeszcie, projekt reformy wojskowej, już przez odpowiednie władze wojskowe wypracowany. O ile nie zajdą nadzwyczajne przeszkody, projekt ten przyjdzie pod obrady parlamentów już w miesiącu kwietniu 1911. Reforma obejmuje 9 głównych punktów, a mianowicie: 1. Ustawa dla całej siły zbrojnej; 2. Reforma wojskowej procedury karnej; 3. Ustawa o obronie krajowej; 4. Reforma ustawy o podoficerach; 5. Reforma przepisów o dostawie furmanek; 6. Reforma przepisów o rekwizycyi koni w czasie mobilizacyi: 7. Nowe przepisy dotyczące taksy wojskowej; 8. Zmiana przepisów kwaterunkowych; 9. Ustawa o zapomogach dla rodzin powołanych na ćwiczenia rezerwistów.

W ustawach ogólnych proponowaną jest **dwuletnia służba wojskowa, z wyjątkiem kawaleryi i polnej artyleryi.** Skrócenie czasu służby pociągnie za sobą, rzecz prosta, znaczne pomnożenie kontyngentu rekruta. Węgierska obrona krajowa ma wreszcie otrzymać także artylerye. W projekcie reformy jest także zmiana przepisów, dotyczących jednorocznych ochotników. Jednoroczni służyć będą wszyscy na koszt rządowy, a tylko w wyjątkowych wypadkach będą mogli służyć na własne koszta.

Ustąpienie hr. Aerenthala.

Wiedeń. (*Tel. wł. Gazety Poniedziałkowej*). „Reichspost" donosi, że minister spraw zewnętrznych hr. Aerenthal wkrótce ustąpi. Następcą jego ma być hr. Berchtold, obecny poseł austryacki w Petersburgu. Nominacya ta ma być dla hr. Berchtolda nagrodą za to, że udało mu się nawiązać przyjazne stosunki między dworem austryackim a petersburskim. Stosunki te, jak wiadomo, były po burzy aneksyjnej wysoce naprężone. W tej sprawie był hr. Berchtold w Berlinie, skąd wczoraj powrócił do Petersburga.

Petersburg. (*Tel. wł. Gazety Poniedziałkowej*). Hr. Berchtold złożył po powrocie z Berlina wizytę rosyjskiemu ministrowi spraw zewn. Sasonowowi. — W najbliższych dniach ma być hr. Berchtold przyjęty przez cara, któremu wręczy odręczne pismo cesarza Franciszka Józefa.

Sprawa Hofrichtera.

Wiedeń. (*Tel. wł. Gazety Poniedziałkowej*). Jak donosiliśmy, Hofrichter wygotował umotywowaną prośbę o rewizyę procesu. Prośbę tą zajmował się onegdaj najwyższy sąd wojskowy i odrzucił ją. Żona Hofrichtera wraz z dzieckiem mieszka obecnie w Döbling. Nieszczęśliwa kobieta ma zamiar rozwieść się z mężem, skazanym na 20 lat ciężkiego więzienia i stara się już obecnie o zmianę nazwiska.

„Elektryczne oko" prof. Rodicza.

Petersburg. (*Tel. wł. Gazety Poniedziałkowej*). Prof. Rodicz, który, jak wiadomo, wynalazł instrument, zapomocą którego można bardzo daleko widzieć, ogłasza, że jest w stanie sporządzać elektryczne fotografie na odległość, jakoteż zbadać głębie ziemi i wulkany za pośrednictwem tego aparatu, który nazwał „elektrycznym okiem". Aparat ma być wkrótce wykończony. Nabywać go będzie można po cenie 500 franków.

Morderstwo na ulicy.

Monachium (*Tel. wł. Gazety Poniedziałkowej*). Na ulicy Elwiry zastrzelił szofer Ellmann swoją dawną kochankę 27-letnią Hubertównę i zranił śmiertelnie montera Fryderyka Heidengrabera. Morderca został wytropiony przez psa policyjnego i aresztowany.

Katastrofy kolejowe.

Paryż. (*Tel. wł. Gazety Poniedziałkowej*). Z powodu gęstej mgły, zderzył się na stacyi Arbanats pociąg pospieszny z pociągiem osobowym. Prowadzący pociąg i trzech żołnierzy poniosło śmierć, 40 podróżnych odniosło ciężkie rany.

Londyn. (*Tel. wł. Gazety Poniedziałkow*). Pociąg ekspresowy wykoleił się koło Manchester. Dwie lokomotywy zdruzgotane; **dziewięciu ludzi** poniosło śmierć na miejscu.

Żywcem pochowany.

Rzym. (*Tel. wł. Gazety Poniedziałkowej.*) — Młody spiewak, tenor Attioli, postanowił się zabić z powodu nieszczęśliwej miłości. Strzelił więc do siebie z rewolweru i zranił się tak, że sądzono, iż umarł. Pochowano go więc na trzeci dzień. Dzisiaj rano jeden z grabarzy, przechodząc koło grobowca, w którym złożono jego zwłoki, usłyszał wydobywające się z grobu jęki. Przerażony zaalarmował lekarzy, którzy zaraz się zjawili, otworzyli grobowiec i przekonali się, że Attioli jeszcze żyje. że pochowano go w letargu. Jest nadzieja, że się tego „nieboszczyka", uda utrzymać przy życiu.

Wielki pożar.

Nowy Orlean. (*Tel. wł. Gazety Poniedziałkowej*). W dzielnicy handlowej wybuchł tu znaczny pożar. 3 ludzi poniosło śmierć w płomieniach.

Konstytucya w Chinach.

Peking. (*Tel. wł. Gazety Poniedziałkowej*). Do Pekinu przybyli wysłańcy kilku prowincyi, aby rządowi wręczyć nową masową petycyę o zwołanie parlamentu. W odpowiedzi na to rząd wydał rozporządzenie, aby policya wydaliła z miasta wszystkich wysłańców i wszystkich agitatorów, agitujących za konstytucyą w Chinach. Gubernatorzy i wicekrólowie otrzymali surowy nakaz, aby wszelki ruch konstytucyjny w prowincyach jak najenergiczniej stłumili.

AKCYJNY BANK ZWIĄZKOWY

dla Stowarzyszeń zarobkowych i gospodarczych we Lwowie

Filia w Krakowie, ulica Wiślna L. 4.

Telefon Nr. 1191. — Adres telegr.: Abezet Kraków.

Eskontuje weksle i dewizy Stowarzyszeń.
Załatwia inkaso i przekazy na wszystkie miejscowości Galicyi, Królestwa Polskiego i Księstwa Poznańskiego, tudzież na wszystkie większe miasta Europy.
Kupuje i sprzedaje krajowe papiery wartościowe, ruble i marki po dokładnym kursie dziennym.
Realizuje kupony i wylosowane papiery wartościowe krajowe bez prowizyi kosztów.
Przyjmuje do przechowania i zarządu depozyty wartościowe.
Przyjmuje **wkładki oszczędności** na książeczki wkładkowe i na rachunek bieżący i oprocentowuje je zależnie od umowy i terminu wypowiedzenia

po $4\frac{1}{4}$, $4\frac{1}{2}$ i $4\frac{3}{4}$ %.

Kwoty do Koron 5.000 wypłaca bez wypowiedzenia.

Podatek rentowy opłaca Bank.

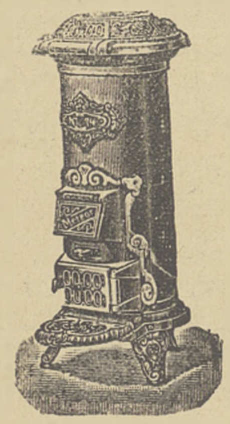
Udziela informacyi w sprawach korzystnej lokacyi kapitałów bezinteresownie

Biura otwarte od 9—1 przed poł. i 3—5 po poł.

Prawdziwe SINGERA Maszyny do szycia

nabyć można tylko w składach Singer Co. Tow. akc. Maszyn do szycia. Udzielamy chętnie wszelkich żądanych wyjaśnień.

Singer Co. Tow. Akc. Maszyn do szycia.



PIECE DAUERBRAND

Patent „Meteor"

z powodu ogromnej oszczędności węgla
- najlepsze dla zakładów, szkół i t. p. -

Wyłączna sprzedaż

W. HALSKI, Kraków,

Sukiennice.

Cenniki na żądanie. Cenniki na żądanie.

Świece Apollo

są wówczas tylko prawdziwe, jeśli na dnie każdej świecy wyciśnięta jest lira a na boku słowo „Apollo".

APOLLO

OSTROWSKI & CUDEK

Dom Handlowy dla interesów PRZEMYSŁOWO-NAFTOWYCH

we Lwowie, ulica Kopernika L. 21.

Tel. Nr. 905. Adres telegr.: OSTROWSKI CUDEK, Lwów. Poczt. Kasa Oszcz. Nr. 74046. Konto żyr.: Filia zakł. kred. dla handlu i przem. Lwów

Przeprowadzamy: **Kupno i sprzedaż terenów naftowych, udziałów kopalnianych, kupno i sprzedaż ropy.** Organizujemy: **Spółki naftowe z drobnymi udziałami.** Polecamy: **Przedsiębiorców wiertniczych do wierceń akordowych.** Ofiarujemy usługi jako eksperci przy wszelkich transakcyach w zakresie przemysłu naftowego. **Dostarczamy ropę do celów opałowych.**

Wszelkie informacye bezpłatnie.

F. LORD Biuro techniczne. KRAKÓW, LUBICZ L. 1.

Skład maszyn i wszelkich przyborów dla wszystkich zakładów przemysłowych i gospodarczych, jako to: cegielń, tartaków, młynów, gorzelń i browarów. **Kompletne urządzenia cegielń i tartaków.** Stale na składzie w wielkich ilościach i wszelkich dymenzyach **rury, łączniki i armatury.** Motory parowe i benzynowe. — Smary, oliwy oryginalne rosyjskie, pasy do maszyn, płyny i sznury gumowe, węże gumowe i parciane, gaza jedwabna oryginalna szwajcarska, kamienie i walce młyńskie, piły i cyrkularki angielskie, toczki szmirglowe, **papier szybrowy, drut do ceglarek** i wiele innych artykułów. — **Instalacye światła elektrycznego i przeniesienia siły.** Skład wszelkich artykułów elektrotechnicznych.

Elektromotory, wentylatory, świeczniki i lampy stołowe. Lampy łukowe, Lampki żarowe, Lampki Tantala i Wolframa. — Ceny fabryczne. — Kosztorysy bezpłatne.

KOMINY FABRYCZNE, CEGIELNIE

BUDUJE I URZĄDZA

inż. ROMAN Z. CIESIELSKI

w Krakowie, Garncarska 14.

Telefon Nr. 1079.

Zjedn. austr. akcyjne

TOWARZYSTWO ŻEGLUGI PAROWEJ

AUSTRO-AMERICANA

Regularna i bezpośrednia komunikacya z Austryi do Ameryki, Kanady i t. p.

ROZKŁAD JAZDY:

a) **z Tryestu do Nowego Yorku**

Martha Washington	7 stycznia
Atlanta	28 „
Oceania	4 lutego
Alice	11 „
Martha Washington	25 „
Argentinia	4 marca

b) **z Tryestu do Argentyny przez Rio de Janeiro**

Francesca	12 stycznia
Laura	2 lutego
Sofia Hohenberg	23 „
Columbia	16 marca

Informacyi udzielają i sprzedaż kart okrętowych uskuteczniają dla Galicyi zachodniej i Bukowiny: **Kraków: Jeneralna Ajencya Austro-Amerykany GOLDLUST i Sp., Biuro spedycyjno-komisowe, ul. Lubicz 7, naprzeciw dworca kolejowego.**
Dla Galicyi wschodniej: **Lwów: Biuro pasażerskie Austro-Amerykany, Na Błonie 2,**

oraz wszystkie prowincyonalne ajencye, następnie **Tryest: Dyrekcya Austro-Amerykany, Via Molin Piccolo 2. Wiedeń: Biuro pasażerskie Austro-Amerykany. II., Kaiser Josefstrasse 36.**

Garderobę Dziecinną

dla chłopców do lat 14
dla panienek do lat 16

oraz kompletne wyprawy dla niemowląt w wielkim wyborze poleca

FRANCISZEK MARTIN

Kraków, Rynek Główny L. 12

vis a vis kościoła św. Wojciecha.

Ostatni wyraz przemysłu fonograficznego.

Kto ma poczucie piękna i jest zwolennikiem dobrej muzyki, wybierze tylko i jedynie znakomity francuski

PATHÉFON

oddający tak muzykę jak i głos ludzki nadzwyczaj wiernie i czysto, z naturalną siłą i barwą. — **Wspaniałe nowe zdjęcia polskie.**

Gra bez zmiany igły, szafirem, na płytach nieskończenie trwałych. Dlatego jedyny do tańca. Przeróbki gramofonów na system Pathè. Korzystna wymiana starych płyt. Naprawy we własnej pracowni.

Stefan GRUDZIŃSKI i Tadeusz BERGER

W Krakowie, ulica Szewska L. 10.

Telefon Nr. 305.

Żądajcie opisów i wyjaśnień darmo i opłatnie.

CENY NISKIE. CENY NISKIE.

Adres telegr.: „SPOROBANKA“.

WKŁADKI

Liczba telefonu 1170.

na książeczki i rachunek bieżący

4% do 4½%

WKŁADKI oszczędności na K. 115,000.000

Centralny bank czeskich kas oszczędności



ÚSTŘEDNÍ BANKA

Filia w Krakowie

Rynek Gł. 42, Linia A-B. Róg św. Jana 1.

KANTOR WYMIANY na I piętrze **wchód od ul. św. Jana 1, otwarty** dla wygody publiczności, osobliwie kupców, przemysłowców itd. **przez cały dzień** od godz. 8 rano do 7 wieczór.

NOWOŚĆ tę zaprowadzono od 1 stycznia 1911 na wzór banków amerykańskich przy podwójnej zmianie urzędników.

KANTOR WYMIANY załatwia jak najkorzystniej: **inkaso weksli, przekazów i innych dokumentów, kupno, sprzedaż papierów wartościowych, obcych walut i monet** (Ruble — marki — franki, dolary) wszelkie **interesa giełdowe,** wydaje **akredytywy e. t. c.**

ODDZIAŁ ZAMORSKI **Inkaso, akredytywy, przekazy** do wszystkich krajów zamorskich, szczególnie do **Północnej Ameryki.**

Najtańsze przekazywanie pieniędzy do Ameryki za pośrednictwem własnych banków zamorskich.

Oddział dla pożyczania papierów wartościowych, składa i wymienia wadya i kaucye za przedsiębiorców i dostawców wszelkiego rodzaju **pod jak najdogodniejszymi warunkami.**

Naczelny redaktor i wydawca: Zygmunt Rosner. Redaktor odpowiedzialny: Feliks Szczepanik. Druk A. Rippera w Krakowie

Zagłębie krakowskie.

Napisał *dr. Artus Benis*, szef Biura Izby handl. przem. w Krakowie.

W ciasne ramy świątecznego artykułu trudno ująć sprawę tych rozmiarów, tej wagi i tej różnolitości, jak przemysłowy rozwój Krakowskiego Zagłębia.

Kraków nasz, zasnuty w swą tradycyę pielęgnowania sztuk i nauk, zasłuchany w głosy przeszłości, rozmiłowany w czcigodnych jej pamiątkach, żyje swem odrębnem, spokojnem życiem. A tuż pod bokiem miasta rośnie krzepko w oczach naszych młody olbrzym prawdziwy wielki przemysł górniczy, hutniczy, fabryczny — wyraz i symbol nowych czasów.

Kraków stał się duchową stolicą Polski mocą swych własnych sił moralnych, ale rola Krakowa jako miasta nowożytnego, jako siedziby materyalnej kultury, najściślej jest złączoną z losami i z rozwojem Zagłębia, jako punkt, ku któremu ciążą, w którym się skupiają ekonomiczne interesy krakowskiego rewiru.

Do Krakowa, do miasta Szujskiego i Matejki począł się nagły ciąg banków i instytucyi finansowych. Banki czeskie i wiedeńskie, potem banki niemieckie, pod austryacką żeglujące flagą, a w ostatnich czasach, acz trwożnie tylko i bojaźliwie, nawet nasze galicyjskie poczęły tu osiadać, widząc w ruchu i obrotach Krakowa oraz Krakowskiego Zagłębia sposobny teren dla zyskownych operacyi, wierząc w przyszłość naszego przemysłu.

Wiara ta jest właściwie przekonaniem, wynikłem ze znajomości rzeczy. Przemysł Zagłębia oparty jest bowiem na naturalnych, zdrowych podstawach.

Macierzą Zagłębia jest ziemia krakowska, która w swem bujnem łonie kryje nieprzebrane a częściowo nawet nieznane jeszcze skarby podziemne. Przedsiębiorczość przemysłowa sięga teraz po nie umiejętną, pracowitą i troskliwą ręką. To, co u nas jest, wyrosło wszystko na naturalnem podłożu sprzyjających warunków produkcyjnych i komunikacyjnych. Nie są to twory sztuczne, wypielęgnowane pod cieplarnianym kloszem, utrzymywane przy życiu tylko troskliwą pieczołowitością. Wyrosły one w twardej walce o byt, na halnym wietrze wolnej konkurencyi, wśród burz i przesileń gospodarczych, idących tropem za przełomami konjunktury. Są to przedsiębiorstwa zahartowane, zdrowe i żywotne.

Inwestycye w Zagłębiu, idące w swej sumie w dziesiątki milionów, są ostrożne; produkcya spokojna i trzeźwa, licząca się z sytuacyą, nie tracąca miary w dobrych, ani odwagi w złych czasach.

Krajowy i obcy kapitał, który w przemyśle i górnictwie Zagłębia szuka zajęcia, czyni to w ugruntowanej nadziei zysków. Ten motyw własnej korzyści, który w podobnych sprawach jest jedną z najlepszych gwarancyi powodzenia działa ciągle i nadal. W tem też, że rachunki i nadzieje, pokładane w Zagłębiu nagół nie zawiodły, leży zakład, iż rozwój Zagłębia będzie trwałym. Ale rzecz ta nie przyjdzie sama z siebie, jako dar niebios. Wymaga ona starań i pracy.

Początki są bardzo piękne, a rejestr wielkoprzemysłowych płodów Zagłębia jest bardzo pokaźny: węgiel, rudy cynkowe, ołowiane i żelazne, cynk metaliczny, blacha cynkowa, kwas siarkowy, farby ziemne, sól, soda, kamień, cement, dolomit, cegły, dachówka, szamota i wyroby keramiczne, gips, wapno, szkło taflowe, nawozy sztuczne, aceton, wyroby asfaltowe, lakiery i pokosty, nafta, benzyna i parafina, żelazo walcowane, drut, gwoździe, kotły, maszyny, statki parowe, pompy, wentyle, armatura, siatki, wagonety, wagi, kasy, sikawki, sieczkarnie, śruby, nity, łańcuchy, podkówki, ocele, okucia budowlane, towary z lanego żelaza od pieców i płyt kopalnianych, aż do ciężarków zegarowych, pilniki, wyroby z blachy i z metalu, wyroby paterowane, latarnie, guziki, wyroby z drzewa, papier bibułka, szczotki, lustra, galanterye, hafty, maszynowe, artykuły chemiczne, artykuły spożywcze, konserwy, cykorya, tłuszcze itd., itd., oto na chybił trafił zebrany szereg artykułów, które się już obecnie w Zagłębiu krakowskiem w sposób fabryczny wyrabia.

Potrzeba jednakowoż jeszcze dużo pracy i nakładów, aby ten pięknie zapowiadający się plon przyniósł rzeczywiście spodziewane owoce.

Zagłębie krakowskie zawisłem jest w swym dalszym rozwoju obecnie od czynnika, który niestety nie od Zagłębia zależy.

Jest nim racyonalna i świadoma celu polityka gospodarcza. Na polu komunikacyi objawia się ona potrzeba kanałów, jako pierwszego i najważniejszego postulatu Zagłębia. Za tem idą i inne dalsze żądania, komunikacyjnej, taryfowej, handlowo-politycznej, kredytowej i fiskalnej natury. Niemniej potrzebnem jest Zagłębiu poparcie i to nie moralne tylko, przez opinię publiczną, ale i praktyczne przez konsumentów.

Wyroby Zagłębia nie apelują do niczyjej łaski. Producenci nasi mają atoli prawo żądać, aby przy równych warunkach, t. zn. przy równej cenie i równej jakości, przenoszono w kraju wyroby nasze nad wyroby pochodzenia obcego.

Taki patryotyzm ekonomiczny jest obowiązkiem każdego obywatela. Krajowi i sobie robi dobrze, kto w ten sposób popiera swojski przemysł.

Komunalna polityka mieszkaniowa.

Napisał *Karol Krzetuski.*

Tematem roztrząsań naszej doby, zjawiskiem, piętnującem nasze stosunki gospodarcze, jest drożyzna. Z reguły współcześni nie bardzo nadają się do podmiotowego badania spraw doniosłych i skomplikowanych, w rodzaju właśnie poruszonej. A jednak aktualność sprawy nęci. Dalej nie podobna dla samej podmiotowości milczeć, gdzie idzie już nie o deklasacyę jednostek, lecz o zniżenie stopy życiowej całego narodu, powiedzmy nawet, całego kręgu kulturalnego. Nie pozostaje, jak przyszłemu badaczowi, przekazać fakta, samemu zaś, nie wdając się w dociekanie przyczyn ostatnich, zadowolić się stwierdzeniem ogólnej natury drożyzny, jej objawów w naszem najbliższem otoczeniu i wskazaniem najbliższych środków obrony. W taką, prawie konieczną wyposażeni skromność, zdajemy sobie sprawę, że od końca wieku XIX począwszy poziom cen stale się podnosi na całym, kulturą europejską objętym globie ziemskim, przede wszystkiem poziom cen środków życia, następnie płac i ceną fabrykatów. Do tego przybywa drożyzna mieszkań w miastach szybko się rozwijających. Po części wpływa na podniesienie się czynszów drożyzna ogólna, drogi robotnik i wysoka cena materyałów budowlanych, po części zaś drożeje grunt budowlany, a więc przedmiot, leżący poza sferą wpływu drogiej żywności, drogiego robotnika i drogiego fabrykatu, i ta zwyżka ceny gruntu wpływa również na wzrost ceny mieszkań. Można powiedzieć, że do wysokich czynszów przyczyniają się w równej mierze czynniki drożyzny światowej i czynnik lokalny, tkwiący w wzroście ceny ziemi. Pomijając ujemny wpływ na budżet jednostki, który wywierają drożyzna ogólna i drożyzna mieszkań, nie mówiąc o niebezpieczeństwie cofania się kultury społeczeństwa, z powodu użycia całego dochodu na potrzeby pierwotne (primus vivere, deinde philosophari), zdawać sobie musimy sprawę z znanego związku między drożyzną mieszkań, a cofnięciem się zdrowotności miasta. Mieszkania drogie wiodą do wyzyskania miejsca i zaniedbania wymagań sanitarnych, już przez konieczne ograniczenie się do mniejszej ilości izb i pokoi. To już niebezpieczeństwo jawnie społeczne, przeciw któremu wystąpić musi w pierwszym rzędzie związek społeczny, gmina. Jej działanie, jej polityka musi dążyć do zapewnienia najszerszym swym warstwom ludności dostatecznej ilości mieszkań zdrowych i tanich. Środki do osiągnięcia tego celu konieczne, dają się zdaniem mojem podzielić na ustawodawcze, techniczne i finansowe.

Na drodze ustawodawstwa musi gmina zapewnić sobie możność regulacyi ulic i placów, asanacyi całych dzielnic, bez względu na opór jednostek przeciwspołecznie myślących. Miasta niemieckie posiadają już dziś prawo ekspropryacyi. W Anglii mają miasta prawo przymusowego zniesienia i odbudowy całych dzielnic, za niezdrowe uznanych. Drezno uzyskało w roku 1905 ustawę zniewalającą do łączenia domów z miejską siecią kanałową. Rozumiejąc doniosłość sprawy, obywatelstwo miast wielkich chętnie zrzeknie się teoremu nieograniczonego prawa własności, wzamian za zapewnienie ogólnej zdrowotności.

Techniczna strona działalności gminnej obejmuje stworzenie podstaw zabudowania miasta przez ułożenie planu regulacyjnego, czuwanie nad stosownem zabudowaniem całych dzielnic i pojedynczych parcel, uzyskanie na drodze konkursu wzorowych planów mieszkań tanich i zdrowych, wskazanie dróg, wiodących do taniego i technicznie nienagannego sposobu budowania, stworzenia komunikacyi pomiędzy dawniejszemi i nowemi dzielnicami.

Wreszcie strona finansowa. Gmina nowoczesna musi rękę przyłożyć do powstania organizacyi kredytowej, potrzebnej dla popierania prywatnej produkcyi mieszkań i ułatwienia właścicielom domów ciężaru, który asanacya miasta na nich z konieczności nakłada. Na skarbowości miejskiej spoczywa też obowiązek dostarczania funduszów, potrzebnych do rozszerzenia miejskiej posiadłości gruntowej, której roztropne wyzyskanie bardzo silnie przeciwdziałać może wzrostowi cen gruntu i potęgującej się drożyźnie mieszkań. Podstawą wielkiej, komunalnej polityki mieszkaniowej jest skupienie w ręku gminy największego obszaru przyszłego gruntu budowlanego i przyjęcie zasady, że własność gminy nią na zawsze pozostać winna.

W grudniu 1910.

Drugie plantacye czy droga bulwarowa?

Napisał *Jan L. Peroś.*

Z chwilą, gdy sprawa przyłączenia przedmieść do Krakowa stała się aktualną i gdy gmina rozpisała konkurs na plany Krakowa, rzucono myśl, aby po zniesieniu kolei cyrkumwalacyjnej założyć na gruntach pofortecznych drugie plantacye, które otaczałyby zachodnią część miasta o większym promieniu niż istniejące i były wykonane wedle tego samego systemu jak stare plantacye tj. miałyby rozmaitą szerokość od 80—400 m. stosownie do konfiguracyi gruntów fortecznych, przyczem główny tor jezdny szedłby tylko po jednej ich stronie, tak samo jak przy obecnie istniejących, na to, aby nadać charakter zaciszności i gwar uliczny możliwie usunąć. Na poparcie tego projektu przytoczono rozmaite momenta z dziedziny estetyki i hygieny twierdząc, że owe planty będą nie tylko miejscem do przechadzek, ale tworzyłyby równocześnie nowy olbrzymi zbiornik świeżego powietrza i zieleni. Projekt ten, na pozór nęcący, znalazł odrazu pewną ilość zwolenników, których wyrazem były artykuły polemiczne w niektórych dziennikach. Nie wątpię, że na pierwszy rzut oka argumenta inicyatorów, którzy kruszą kopie za II plantacyami, są słuszne, ale tylko teoretycznie, albowiem jeżeli kto twierdzi, że należy w mieście urządzać jak najwięcej ogrodów etc. ten ma zupełną racyę, rozchodzi się jednak tylko w pojedynczych wypadkach o kalkulacyę gospodarczo finansową, o ile to jest wykonalne i co to będzie kosztować? Dziś każdemu już wiadomo, że grunta poforteczne przedstawiają obecnie olbrzymią wartość, z powodu iż leżą pierścieniem około miasta w znacznej bliskości jego głównego centrum, a powtóre domy na nich postawione będą mieć prawo korzystania z 18 letniego uwolnienia od podatków. Jeżeli uwzględnimy że na ogrody, plantacye, parki przeznacza się zawsze tani grunt, a to przez ogrom miejsca jakie one zajmować muszą, pokazuje się, że pierwszym argumentem przeciwko urządzeniu drugich plant na gruntach pofortecznych jest ich wysoka wartość pieniężna.

Również i o drugim momencie nie należy zapomnąć, że gmina przez rozparcelowanie owych gruntów może skutecznie przyczynić się do potanienia mieszkań. Główne bowiem źródło obecnej drożyzny szukać należy przeważnie w słabym ruchu budowlanym ostatnich lat, który był znacznie mniejszy niż naturalny roczny przyrost mieszkańców...

Jest to statystycznie udowodnione, że Kraków potrzebuje dla swojego rocznego przyrostu najmniej 60 nowych II piętrowych kamienic średniej wielkości tymczasem ze względu na brak parcel w starym Krakowie budowano zaledwie do połowy zapotrzebowania, wskutek czego ceny mieszkań szły w górę. Chcąc dążyć do ich zniżki, może zarząd miasta przyczynić się pośrednio w ten sposób, jeżli corocznie będzie z swoich gruntów pofortecznych rzucać na targ tyle parcel, ile potrzeba postawić domów, aby naturalnemu przyrostowi ilości nowych mieszkańców Krakowa zadość uczynić. Gmina, sprzedając parcele, będzie to czynić najprawdopodobniej w drodze przetargu publicznego, aby jednak nie dopuścić do spekulacyi gruntowej, każdy nabywca musi się kontraktowo zobowiązać do zabudowania jej do lat 3., w przeciwnym razie Magistratowi przysługiwać będzie prawo przy-

musowego odkupu po niższej, z góry w kontrakcie kupna i sprzedaży ustanowionej cenie. Możnaby wprawdzie zakwestyonować moje zapatrywanie wykazując, że gmina nie potrzebuje swoich gruntów fortecznych obecnie sprzedawać, albowiem jest dość parcel w Wielkim Krakowie, które uwolniono od rewersów demolacyjnych, mogą zaspokoić wszelkie braki na cały szereg lat.

Jeźli jednak uwzględni się, że te gminy podmiejskie pod względem urządzeń swoich ulic są jeszcze prawie w dziewiczym stanie, albowiem nie ma tam ani odpowiednich chodników, ani kanałów, ani wody, gazu, elektryki i tramwaju, a tego wszystkiego gmina ze względu na olbrzymie przestrzenie i milionowe koszta, w krótkim czasie wykonać nie może, przeto one obecnie pod budowę większych domów z nowoczesnemi wymogami nadawać się nie mogą. Zresztą najwyższy czas, aby zarząd miasta wprowadził zasadniczą zmianę w dotychczasowym sposobie zabudowania ulic, co stać się tylko może przez użycie innego typu, któryby monotonię obecnych nowszych dzielnic miasta koszarowo zabudowanych zmienił. Uda się to wtedy, gdy wytyczenie ulic, parcelacyę etc. wykona się na własnych gruntach, a wprowadzenie innego typu zabudowania zabezpieczy się specyalnymi warunkami w kontrakcie kupna i sprzedaży. Prawie wszystkie miasta niemieckie, które chciały zastosować nowoczesną i planową gospodarkę w nowo powstałych dzielnicach, skupowały jak najwięcej gruntów aby wprowadzać tamże racyonalną parcelacyę i w ten sposób przygotowane parcele spieniężać. Jeźli gmina nie będzie mogła na swoich gruntach zaaklimatyzować innego typu zabudowania się miasta, to na podstawie istniejącej ustawy budowlanej nie potrafi tembardziej prywatnych właścicieli hruntów na przedmieściach powstrzymać od wprowadenia najtańszego tj. koszarowego systemu budowy. Zabudowanie innym typem gruntów fortecznych będzie również środkiem pedagogicznym dla przyległych gmin, na jakich zasadach one zabudować się powinny.

Czwartym najważniejszym może argumentem przeciwko przeznaczaniu gruntów fortecznych na plantacye są kwestye finansowe. Jeżeli gmina dotąd nie pracuje deficytem, pomimo, że wzrastające z roku na rok wydatki pokrywa dochodami z podatków zaledwie w wysokości 45% a resztę czerpie z dochodów z przedsiębiorstw miejskich, to wobec milionowych wydatków, jakie czekają ją dla przeprowadzenia inwestycyj Wielkiego Krakowa, nie należy się dziwić, jeźli pragnie na parcelacyi gruntów fortecznych zarobić. Wszak te pieniądze, które pozostaną z sprzedaży przeznaczy gmina na inne inwestycye, z których przecież cały ogół korzystać będzie albo użyje na uprzystępienie takich miejsc do budowy, gdzie w istocie tanie domy powstać mogą. Jeżeli kto poda sposób, aby gmina mogła otrzymać podatek z 20 milionów koron na inwestycye, jakie ją w najbliższym czasie czekają, to ja pierwszy głosować będę za II plantacyami, pomimo tego, że uważam ten projekt za wybitnie burżuazyjny. Zachodnia część miasta, która ma park krakowski, park Jordana, olbrzymie błonia, tor wyścigowy i znaczne przestrzenie ogrodów między zabudowanymi domami tej dzielnicy, posiada chyba dość zbiorników świeżego powietrza, aby zachodziła nagląca potrzeba stwarzać jeszcze nowy i to bardzo kosztowny, raczej należałoby żądać, ażeby ta dzielnica została dobrze skanalizowaną i osuszoną, co stanowczo przyczyni się w większym stopniu do jej zdrowotności. Tymczasem tych panów propagatorów i hygienistów, którzy walczą za drugiemi plantami, pragnąłbym zaprowadzić do wschodnich granic Krakowa, aby przekonali się, w jakich warunkach zdrowotnych żyje cały Kazimierz! Dlatego, że szanujący się człowiek nigdy w te zaułki nie zapuszcza się i zna Kraków z tej strony najwyżej po Wawel, nikt o tej dzielnicy nic nie wspomina i nie zwraca uwagi na stajnię Augiasza, jąką przedstawia Kazimierz ze stanowiska hygienicznego. A przecież przyznać trzeba, że żyją tam tysiące ludzi, opłacających podatki miejskie, którzy tak samo jak i my potrzebują do życia słońca, powietrza i przynajmniej na pół znośnych warunków sanitarnych. Sądzę więc, że stworzenie tamże wielkiego zbiornika świeżego powietrza, skanalizowanie ulic i zasanowanie placów jest najpilniejszym obowiązkiem zarządu miasta, choćby dlatego, że owa dzielnica była od szeregu lat zaniedbaną, wskutek czego jest ciągle niebezpiecznym źródłem wszelkich epidemii dla całego Krakowa, które trudnoby było wytępić, gdyby tamże na dobre zagnieździły się. Zresztą co się tyczy II plant to najnowszy kierunek budowy miast wprowadza zupełnie inną teoryę, moim zdaniem sprawiedliwą i słuszną twierdząc, że nie należy ogrodów i parków zakładać w jednej stronie miasta, tylko powinno się je grupować we wszystkich dzielnicach równomiernie i to nie zbytnio duże, ale za to przywidywać boiska dla dzieci i miejsca sportowe dla każdego przedmieścia. Nazwałem projekt założenia II plant żądaniem wybitnie burżuazyjnym, a motywuję to wyrażenie tym, że gmina jako dobry i sprawiedliwy ojciec, nie może szczególną opieką otaczać elegantsze swoje dzieci mieszkające w jednej tylko stronie miasta i dawać im milionowe podarki, nadmiar wygody i powietrza dla tego, że mają bardziej wydelikacone płuca i noski, tylko musi pamiętać, że i od północy, wschodu i południa mieszkają również jej dzieci, które może na razie większej opieki i poparcia potrzebują, jak te od zachodu. Ostatecznie wierzę, że jeźli ścierają się ze sobą chociażby nawet wręcz sprzeczne zapatrywania, ale gdy mają wyłącznie etyczny podkład tj. aby swoją radą i wiedzą służyć jak najlepiej miastu, to wtedy zawsze możemy spotkać się w pół drogi i ugodę zawrzeć w myśl zasady: „wedle stawu grobla“. Spodziewam się, że zgoda między nami nastąpi, jeśli zgodzimy się, aby na miejscu obecnej kolei cyrkumwalacyjnej założyć około 50 m. szeroką aleję bulwarową, któa okrąży miasto od południa, zachodu i północy, lekko zwężając się, a w końcu złączy się z bulwarem, biegnącym nad brzegiem uregulowanej Wisły. Wtedy otrzymamy pierwszorzędną arteryę komunikacyjną na około miasta o olbrzymim kilkunastu kilometrowem obwodzie, która nietylko połączy ze sobą przedmieścia i odciąży ruch kołowy starego Krakowa, ale wytworzy piękny bulwar jak np. Ringstrasse w Wiedniu, Offerbro Gade w Kopenhadze, Boulevard de l' observation w Brukseli, Avenue de Clichy w Paryżu, Stradore delle Cascine w Florencyi. Jeźli one są ozdobą swoich miast, to i nasza projektowana aleja, pełna drzew i zieleni, będzie ozdobą Wielkiego Krakowa. W tych warunkach zgadzam się nawet na to, abyśmy teoretycznie nie wyrzekli się drugich plant, ale urzeczywistnienie ich zostawmy następnym pokoleniom; niech je urządzają w obwodzie zewnętrznym granic wielkiego Krakowa; może będą oni od nas szczęśliwsi i bardziej finansowo przygotowani do przeprowadzenia tak olbrzymiego dzieła.

Rozpaczliwy stan sprawy kanałów

czyli walka pomiędzy nędzą Galicyi a ideą uprzemysłowienia kraju.

Napisał radca Izby handlow. przem. *Zygmunt Resch.*

Na podstawie dokładnej znajomości stosunków gospodarczych i komunikacyjnych Galicyi byłem i jestem gorliwym rzecznikiem zużytkowania rzek, w szczególności Wisły, jako drogi komunikacyjnej, a tem samem rzecznikiem stopniowego rozwiązania niesłychanie ważnego zagadnienia gospodarczo-społecznego, jakiem jest budowa drogi wodnej czyli kanału Dunaj-Wisła. Już przed dziesiątkami lat, przy sposobności budowy kolei lokalnej Dębica-Rozwadów-Nadbrzezie, zwróciłem uwagę miarodajnym czynnikom na możliwość zużytkowania Wisły dla przewozu towarów do Galicyi i w międzynarodowym ruchu. Lecz dopiero przed 10 laty myśl tę — przynajmniej ustawowo na papierze, wykonano — do dziś dnia atoli pozostaje ona jeszcze na papierze.

Tem bardziej też ubolewam, że wbrew opinii prawie całego naszego społeczeństwa, które pragnie tej drogi wodnej, krajowe nasze czynniki miarodajne nie umieją się zdobyć na przełamanie oporu przeciwników kanałów w Wiedniu. Z tej bowiem przyczyny grozi nam faktycznie nędza, owa straszna nędza „galicyjska“, o której pisał już nieodżałowanej pamięci Stanisław Szczepanowski. Mimowoli nasuwa się dziś myśl, że gotowi jesteśmy cofnąć się o kilka dziesiątków lat wstecz, że daremnie pod wpływem książki Szczepanowskiego padło z ust śp. hr. Andrzeja Potockiego zbawcze hasło uprzemysłowienia kraju, jako jedynego lekarstwa na tę nędzę.

Na nic przecie nie przydadzą się wszelkie usiłowania w tym kierunku, jeźli dobrowolnie zrezygnujemy z ustawy kanałowej z roku 1901, jeżeli sami pozbawimy nasz przemysł najważniejszej dla niego arteryi komunikacyjnej.

Sprawą tą zajmowałem się już w dawniejszych moich referatach i publikacyach, jak np. „Przyszłe ekonomiczne znaczenie Krakowa wobec budowy dróg wodnych“, oraz „Żegluga na Wiśle“, lecz i dziś jeszcze uważam za swój obowiązek uświadamiać nasz ogół, co mu grozi, jeżeli tej drogi wodnej nie otrzyma.

Galicya jest dotychczas jeszcze głównie krajem rolniczym. Obok płodów rolniczych i leśnych produkuje on głównie tylko niektóre kopaliny jak węgiel, naftę — a więc wyłącznie tylko płody, naturalne. Niewielka jeszcze liczba poważniejszych zakładów przemysłowych, na nazwę przemysłu jeszcze nie zasługuje. Aby można mówić o wielkim przemyśle w naszym kraju, potrzeba, ażeby on podniósł się i pomnożył conajmniej kilkakrotnie. Lecz taki przemysł powstanie u nas tylko w razie, jeżeli stworzy się dla niego odpowiednie warunki rozwoju przez sieć dróg wodnych, aby łatwiej mógł wywozić swoje wyroby na Zachód, i by także wschodnia część kraju tanio otrzymywać mogła węgiel z zachodniej jego części tak bogato w ten środek opałowy zaopatrzonej.

Wszak Galicya wskutek swego terytoryalnego ukształtowania cierpi najwięcej pod brzemieniem wysokich taryf. Rzecz to wpadająca każdemu w oko, kto tylko spojrzy na mapę Austryi. Galicya, kraj nadmiernie wydłużony, zamknięty ku północy granicą rosyjską, a ku południowi granicą węgierską, nie ma eksportu w tę stronę. Koleje, przecinające łańcuch grzbietów karpackich, ułatwiają jeno sąsiednim krajom, szczególnie Węgrom, zasypywanie Galicyi swojemi wyrobami przemysłowemi, ba, nawet produktami ziemnemi jak np. zboże, mąka itd.

Eksport Galicyi ma zatem tylko w kierunku zachodnim otwartą drogę; lecz od rynków zbytu na zachodzie dzieli Galicyę prawie 600—700 km. Dlatego też obecnie istniejące taryfy komunikacyjne obciążają produkt galicyjski dwa lub trzy razy więcej, niż płody pochodzące z innych krajów koronnych. Jasna tedy rzecz, że gdyby zdołano osiągnąć potanienie przewozu za pośrednictwem dróg wodnych na tej tak długiej przestrzeni, byłaby to korzyść niezmiernej do iosłości dla kraju.

Jakże dziś przedstawiają się nasze eksportowe stosunki? Dziś około 15—20 000 wagonów drzewa, kilka tysięcy wagonów owoców strączkowych lub innego zboża idzie na Zachód (!) przeważnie na Odessę i przez Rumunię na Brailę i Gałacz lub też do Łaby przez Czechy, robiąc tak kolosalny objazd około Europy, ażeby dostać się do targów światowych. Również nasze fabryki papieru, giętych mebli itp. wysyłają dziś swoje wyroby za granicę tylko w małej ilości z powodu utrudnionej komunikacyi i to aż na Tryest lub Hamburg! A co najważniejsze to, że z powodu utrudnionego eksportu i braku najważniejszych podstaw dla naszego przemysłu tworzą się w sąsiednich krajach wielkie fabryki, przerabiające nasze galicyjskie surowce. Tak np. we wszystkich niemal stacyach pogranicznych pruskich powstał przemysł drzewny, a nawet w Warszawie dawno już założono wielką fabrykę cerezyny, która rok rocznie sprowadza około 5—600 wagonów wosku ziemnego z Borysławia.

Niepodobna tu roztoczyć całego obrazu ogromnego rozwoju przemysłu, tak rolniczego, jak i leśnego, któryby nastąpił, gdybyśmy osiągnęli drogi wodne i kanały do wszystkich krajów zachodnich, w szczególności zaś na Wiśle. Moglibyśmy przedewszystkiem własne produkta i wyroby bardzo tanim i wygodnym sposobem na targi światowe wysyłać, moglibyśmy nie dopuścić do tego, co się obecnie dzieje, że nawet w wyrobach drzewnych lub innych, w których właściwie prym dzierżyć powinniśmy, inne kraje nas wyprzedzają dzięki swoim udogodnieniom komunikacyjnym.

Ponadto kraj nasz musiałby się stać centrum kolosalnego obrotu tranzytowego, albowiem stosunkowo bardzo wygodnie i tanio moglibyśmy wysyłać lub sprowadzać towary Wisłą na Gdańsk przez Warszawę. I podczas gdy obecnie, sąsiednie kraje, jak Węgry, Królestwo Polskie lub nawet Rosya Połudn. wysyłają wszystkie swoje produkta do Europy np. na Bogumin lub przez prusko-rosyjskie stacye — to w przyszłości wszystkie te produkta mogłyby być skierowane przez kraj nasz transito drogą wodną.

Otóż zdaje mi się, że wobec tak potężnego rozwoju ekonomicznego, któryby niezawodnie nastąpił, gdybyśmy mieli rozwiniętą żeglugę kanałową, powinny nasze miarodajne czynniki wszelkiemi siłami i mimo wszelkich trudności doprowadzić do tego, aby wszelkie istniejące przeszkody co do budowy dróg wodnych, usunięte zostały.

Nie od rzeczy będzie wskazać tutaj na znane zresztą bardzo miarodajne głosy, nawoływujące już oddawna do rozwiązania tego niesłychanie ważnego zagadnienia gospodarczo-spokołecznego np. na dawniejsze wywody bł. p. posła Arnolda Rappaporta, posła Merunowicza, dalej pp. posłów Zarańskiego, Daszyńskiego, ba nawet znakomitych posłów innych narodowości, którzy z zapałem byli i są za urzeczywistnieniem problemu dróg wodnych.

Jasna też rzecz, że w położeniu tak krytycznem, grożącem nam prawdziwą nędzą, jedyną drogą do usunięcia tych tak opłakanych stosunków jest skoncentrowanie wszystkich sił, w szczególności sił ekonomicznych, dla urzeczywistnienia programu budowy dróg wodnych i kanałów.



„AUTO"

Kraków,

Plac Szczepański Nr. 2.

Wyłączne zastępstwo na Galicyę
Aust. Daimlera

Wszelkie przybory Automobilowe

Pneumatyki, Benzyna, Oliwa.

Fabryczny skład angielskich przyborów sportowych:
Tennis, Piłka nożna, Hockej, Golf.

Wszelkie przybory do zimowych sportów turystycznych.

Sport zimowy:

Saneczki

typu Hallthal, norwegskie,
Bobsleigh.

Narty

Norwegskie, Fińskie, Lilien-
feldskie.



Łyżwy we wszelkich gatunkach.

Parjasy.

Stary, zgarbiony pod ciężarem ogromnego tobołа na plecach żyd, kroczy wolno podmiejską ulicą. Dyszy ze zmęczenia, oczy krwią mu zaszły. Przystanął na chwilę, rękawem zniszczonego hałata otarł pot z czoła i przygładził machinalnie długą, splątaną brodę. Jęczy zcicha, jakby się skarżył na dolę.

Stary żyd wsparł się na kiju, nie widzi on przepychu drżącego w przestrzeni cudu odrodzenia. Przywykł patrzeć przed siebie w szarą dal podmiejskiej uliczki i równie szarą dolę podwórkowego handlarza. Oblicza tylko w myślach zyski z ubiegłego dnia dla przeżywienia starej, chorej żony i wnucząt gromady. Dla siebie — tyle tylko, by siły do jutra podtrzymać. W głowie czuje zawrot, usta chwytają powietrze. Czy stanie sił przekołatać ostatnich lat kilka? Spoczą nie może przez wzglad na starą Ruchlę i opuszczone przez córkę dzieci. Pochyla się niżej pod ciężarem dźwiganego węzła i dalej idzie szary, zgarbiony i nędzny.

Głąb podwórka otwiera tajnię swej nędzy. Krąg w ziemię zapadłych kamieniczek o czarnych plamach okien. Żyd wyprostowuje się mocą przyzwyczajenia. „Handel, handel“, rozbrzmiewa przeciągłym echem. Wsparty na kiju czeka, wodząc oczami po oknach. W przygasłych źrenicach pali się niepokój wyczekiwania. Mało dziś zarobił, a szabas jutro. Coś załkało w głębi zapadłej piersi. „Andel, andeel...„ — brzmi nuta rozpaczliwej prośby.

Na progu sutereny staje kobieta. Szara, ziemista, pochyła, choć młoda jeszcze. Wampir troski krew wyssał z policzków i niewymówioną troską zacisnął usta. Trzyma w ręku chustę i paltocik dziecinny.

— Chodźcie handlarzu — mówi.

Żyd składa na schodach węzeł i ogląda ubranie. Ze szmat wieje tragizm nędzy.

— Niewiele to warte – mówi handlarz.

Błysk trwogi miga w oczach kobiety.

– Dajcie cokolwiek!

Starzec dobywa garść miedziaków z worka.

– Ja biedny jestem, mówi, ale jedni drugim wygodzić muszą.

Kobieta ciężko wzdycha.

— A biedniśmy odkąd mojego zatłukło we fabryce. Wyciera fartuchem oczy, chowając pieniądze. Handlarz zabiera rzeczy.

— Na to mi zeszło, lamentuje kobieta, ale wiosna idzie, nie trzeba dziecku paltocika, dodaje z głuchą rezygnacyą.

Stary handlarz wlecze się dalej. Pod dachem sąsiedniego domu roztwiera się okienko.

— Hej no, żydzie, spieszcze się!

Żyd wspina się po stromych schodach na górę. Omdlewa prawie ze zmęczenia. Czwarte piętro — za wysoko na stare nogi. Uchyla drzwi poddasza. W niskiej izdebce pustka wieje z kątów. Wysoki, ogorzały mężczyzna podnosi się z barłogu.

— Wybieraj co, ju aszu! — mówi.

Żyd wprawnym spojrzeniem taksuje mieszkanie.

— I wy się fantujecie panie Ignac?

Robotnik rozwala się na sienniku.

— A cóż mam robić? U nas święto.. Krwawe święto strajku. Jeść trzeba. Bieda, ale święto.

Zanosi się bolesnym chichotem. Ze wspartymi na kolanach łokciami siada na łóżku.

— Bierzcie szmaty, żydzie, to już ostatnie.

Odrzuca głowę i nagły, łobuzowski gwizd wdziera się w ciszę; kiwając się do taktu śpiewa:

Człowiek żyć musi
Choć bieda go dusi!

Żyd targuje się długo, kładzie wreszcie na stole pieniądze i zwitek ubrania chowa do węzła. Schodzi na podwórze. Z sutereny wychyla się zapłakana twarz praczki.

— Chodźcie. Zmarło mi dziecko i trza pogrześć, a pieniędzy niema.

— Dajcie więcej na trumienkę, mówi kobieta.

— Nie mogę, ja mam dzieci żywe co jeść wołają, odpowiada starzec.

Znowu powtarza się ruch wciskanych do ręki miedziaków. Żyd wychodzi na ulicę.

Ponad linią parkanów, daleko w polu słońce zapada za wyniosły na wzgórzu zagajnik. Okna domostw płoną barwnie; na jedną chwilę wyzłaca słońce wnętrza izdebek za rozbłysłymi szybami. Jedno złote lśnienie w nędzy szarzyźnie. Mrużą się nieprzywykłe do światła oczy.

Handlarz pchnął drzwi na pół rozwalonej chałupy. Ciężką falą buchnęło z wnętrza. Żyd tobół w kącie złożył i stał długą chwilę z obwisłymi wzdłuż bioder dłońmi.

Stary handlarz nie ruszał się z miejsca. Odpoczywał.

Hen za miastem, nad siną borów wstęgą, zachodziło słońce.

. . . .

Wiosenne południe rozelśniło się przejrzyście jasnym, a subtelnem kolorytem, niby toni wodnej. Powódź promieni stężała w powietrzu. Cisza...

Stary żyd wyszedł w pole. Sunie się wzrokiem po horyzoncie, taki nie śmiały, a korny, jakby skomlał o przebaczenie, że słońca połyskiem i wiatru tchnieniem, nasycać się poważa. Wypoczywa w dzień szabasu.

Słońce mieni się w oczach złotymi płatkami. Tyle bogactwa! Linia podmiejskich domostw ginie w oddaleniu. Starzec oddecha z ulgą. Idzie brzegiem zaoranego pola. Długa, siwa broda spływa na czerń odświętnego chałata.

Pod przydrożną topola opuszcza się żyd na ziemię, o pień drzewa wspiera białą głowę patryarchy. Pogrąża się w ciszę, woń niwy, w gorący oddech ziemi. Wypoczywa.

Na łące opodal leży w trawie dziewczyna, skrzyżowała ręce pod głową i patrzy w niebo. Jakby się zasłuchała w ziół szmery i w rozhowor senny zagajnika. Jaskrawą plamą sukni, zda się wyłaniać z zieleni trawnika. Blada, zniszczona — biedna dziewczyna z ulicy.

Nad łąką przeciągają wiosenne powiewy, stłumione szepty biją od ziemi. Dziewczyna — słucha.

Hej, ból się w piersi budzi... ból tęskny a słodki. ..Gdzieś wśród pól dzwoniły sierpy. W czerwonych zapaskach dziewczęta pławią się w zbożu jak — jak maki. Dzwoni pieśń... dzwoni...

Dziewczyna podnosi się i opiera na łokciu, z ust wyrywa się niby dawnej piesenki echo, niby łkanie nad własną dolą.. Opada wolno na trawę, przesłaniając dłońmi oczy. Słonko całuje ją w powieki — jasne, złote słonko. Jak dawniej tam w polu. Zanika ohyda życia obecnego. Marzy.

...Wiśnie kwitną w sadzie, mrok szary nad strzechą się słania ... Niby podszepty miłosne, drżą silnie, a ledwo wyczuwalne prądy w przestrzeni. Czarnobrewa Hanka wymyka się z ogrodzenia. Moc jakaś tajemna gna w pole, między kwitnące na miedzach grusze. Oddech pól czy kwiatów nieci lube ciepło w piersi. Dokoła rozbrzmiewa chór polnych koników. Od lasu kładą się niebieskawe smugi cieniów. Odgłos kroków męskich i piosenki gwizdanej echo wiatr niesie od boru. Dziewczyna przywarła do pnia gruszy. Płatki kwiatów sypią się jej na piersi, na ramiona... Biały śnieżny puch! Panicz wraca z polowania... przystaje obok na chwilę. W ciemni wieczora dwa młode ciała wibrują ku sobie tęsknotą upragnienia. Jak motyle nocne opadają na usta wargi, splot ciał bije w niebo okrzykiem wielkiej rozkoszy. Płatki gruszy osypują się im na piersi, na ramiona... biały, śnieżny puch...

To wspomnienie wiosennej nocy echem snów minionych wżera się w orgię dzisiejszego upodlenia. W taką cichą mroku godzinę. Biedna, nędzna dziewczyna z ulicy marzy.

Od pola przeciąga powiew mgły i chłodną wilgocią opada na czoło. Dziewczyna zrywa się z trawy. Ha, ha, ha!! To — było! A — teraz?...

Powlokła się zgarbiona, ociężała w stronę miasta. Mrok słania się nad łąką.

Na skraju drogi czernieje sylweta starego żyda. raca — do pracy.

Mroczny, cichy, pogodny wieczór majowy. W gaiach przydrożnej topoli przebiegło drżenie... niby , niby skarga...

A nad miastem rozelśniła się łuna odblasku ulinych latarni.

---

apoleon i Polska 1806/7 R.

Historyk polski p. Marceli Handelsman, ogłosił dawno zajmujące, zwłaszcza dla Polaków, dzieło tyt. „Napolen et la Pologne 1806—7". Zebrane zętnie materyały ugrupował autor w szeregu rozałów, mających dać razem całkowity obraz kwe, opatrzył je licznemi uwagami, dopisami i objaeniami.

racę swoją rozpoczyna od pogromu wojsk pod i przechodzi odrazu do głównego tematu, jakie visko zajmował Napoleon wobec kwestyi pol- Bohater francuski interesował się żywo spraolską jeszcze jako konsul. Już wówczas wyrzekł p. Bourienne słowa następujące:

„Jest to poniżające dla Francyi, że z tchórzliwej bojaźni nie przeszkodziła rozebraniu takiego rólestwa, jak Polska. Polacy zawsze byli przyjaiółmi Francyi; mnie należy ich pomścić. Nigdy ie będzie trwałego pokoju w Europie, dopokąd rólestwo polskie nie zostanie odnowione na swo podstawach, swojej niewzruszoności. Cierpliwo trochę! jeśli ja dwadzieścia lat pożyję, zmuszę że Rosyę, Prusy i Austryę do oddania prowini, które trzykrotnie pomiędzy siebie rozdzielały". ea ta zaczyna się zamieniać w czyn od r. 1806. eon projektuje odnowienie państwa polskiego, nonarchii samodzielnej, wyłączając z niej tylko yę, którą chciał pozostawić zaprzyjaźnionej Austryi, ewentualnie chcąc Austryi oddać wzamian za Galicyą. We wrześniu 1806 r. muje generał Zajączek rozkaz utworzenia legii ej. w kilka dni później zaczyna tworzyć drugą oficer Henry w Norymberdze. Równocześnie odem Napoleona na Berlin, marszałek Davoust za do Wielkopolski, a 10 listopada zajmuje ń, wyrażając w biuletynie niezmierne zadowo- z ducha, ożywiającego Palaków.

otem Napoleon zraża się nieco stanowiskiem iem na Białejrusi i Małejrusi, gdzie trwano erności dla cesarza Aleksandra i krótko przed yciem do Berlina odzywa się do p. Comeau:

„Polacy pozwolili kraj swój rozebrać. Już nie narodem. Braknie im ducha jedności. Szlachty ją za wiele, ludu za mało. Są ciałem martwem, w które trzeba wprzód wlać życie, zanim do czegokolwiek posłużyć będzie mogło. Dam im żołnierzy i oficerów;—potem zobaczę, co zrobią. Prusom odbiorę ich zabór. Będę miał Poznań, Warszawę; — nie dotknę ani Krakowa, ani Galicyi, ani Wilna".

W chwil, gdy wśród ministrów i generałów francuskich powstaje rozdwojenie zdań, gdy jedni oświadczają się przeciw kampanii polskiej, a inni jej żądają, przybywają do Napoleona Dąbrowski i Wybicki. Ale Napoleon i wtedy jeszcze niezdecydowany, czy wzbudzać Polskę z prowincyi pruskich tylko, czy także z rosyjskich. W przedłożonym mu memoryale domaga się Montguillard wskrzeszenia całej Rzeczypospolitej, dowodząc, że będzie ona wałem, dzielącym Austryę od Rosyi i że dzięki temu Francya osiągnie pełną przewagę na kontynencie. Memoryał nie pozostaje bez wrażenia, lecz równocześnie obawia się Napoleon, aby podczas wyprawy nie zaatakowała go na tyłach Austrya. Ostatecznie jednak pisze do marszałka Davousta:

„Oświadczam panu i proszę to oznajmienie dalej rozszerzyć, że istotnym zamiarem cesarza jest niezależność Polski ogłosić, jeśli ona 40 tysięcy zdatnych ludzi dostawi, na których by można polegać, jak na żołnierzach armii regularnej".

Aby wzbudzić we Francyi przychylną dla Polaków opinię, wysyła do Paryża manuskrypt Pistora o sprawie polskiej i każe go natychmiast drukować z własnymi dopiskami. Po odrzuceniu przez Kościuszkę wezwania do stanięcia na czele, powierza to stanowisko Dąbrowskiemu, który ogłasza organizowaniem i wraz z Wybickim zajmuje się organizowaniem ruchu. Polacy rozpraszają drobne garnizony pruskie. Napoleon zachęca swych generałów, aby ich wspomagali, wyraża życzenie, by szlachta formowała od działy ułańskie, a w miastach powstawały gwardye narodowe. Wreszcie na posłuchaniu deputowanych województwa poznańskiego w zamku charlottenburskim, oświadcza:

„Francya nigdy nie uznała podziałów. Przyszłość wasza od was zależy. Czego chcą miliony ludzi, stać się musi. Polska niepodległa stanowić będzie radość moją. Okażcie zgodność, a tryumfować będziecie".

W dalszym ciągu opisuje p. Handelsman bieg wypadków, znany już mniej więcej z dawniejszych dzieł historycznych: wejście do Poznania, pobyt Napoleona w Warszawie, ustanowienie rządu narodowego, bitwę pod Iławą, bitwę pod Frydlandem, wreszcie pokój w Tylży i utworzenie W. Księstwa Warszawskiego.

Praca p. Handelsmana zawiera wiele szczegółów nowych, lub mało znanych; zgrupowaniem innych, powszechniej wiadomych, przyczynia się do stworzenia jasnego obrazu z całej kwestyi. Jest zaś niewątpliwie owocem skrzętnych poszukiwań; dowodzi, że autor opanował doskonale cały materyał. Styl potoczysty i barwny ułatwia czytelnikowi zapoznanie się z przebiegiem tych tak niezwykle interesujących wypadków historycznych.

S.

Nadesłane.

(Za tę rubrykę Redakcya nie odpowiada).

DODATEK LITERACKI

do

świątecznego numeru „Gazety Poniedziałkowej“

pod redakcyą

Bogusława Butrymowicza.

KATHLEEN MANSFIELD.

PAMIĘCI STANISŁAWA WYSPIAŃSKIEGO.

From other side of the world,
From a little island cradled in the giant sea bosom,
From a little land with no history,
(Making its own history, slowly and clumsily,
Piecing together this and that, finding the pattern, solving the problem,
Like a child with a box of bricks).
I, a woman, with the taint of the pioneer in my blood,
Full of a youthful strength, that wars with itself and is lawless,
I sing your praizes, magnificent warrior,
I proclaim your triumphant battle.

Z dalekiej, dalekiej, obcej świata strony,
Z małej wyspy, kołysanej na olbrzymiem łonie morza,
Z małego kraju, co dotąd żyje bez historyi,
(Tworzy on własne dzieje z trudem i nieudolnie,
Czerpie skrzętnte tu i tam, szuka wzorów i rozwiązuje zadania,
Jak małe dziecko łamiące główkę nad stosem klocków do budowy —).
Ja, kobieta, z zarodkiem bojownicy w mojej krwi.
Pełna młodzieńczej mocy, która zmaga się sama z sobą i jest niezawisłą,
Śpiewam dziś Twoją Dumę wspaniały bojowniku i głoszę tryumf twojej walki.
Synom mego narodu nie zdarzył los bojowej sprawy.
W pełnej jasności dnia pracowali i ugniatali glinę twardymi palcami;
Dla nich — Życie — to związek krwi i mięśni —
Śmierć — to zmiot w podziemie strawionej materyi
Jakżeż im pojąć: tajemnicę duchów i niewidzialnych istnień?
istotę cieniów, które się lotnią z rzeczywistości —
mroku, który znicestwia miesięczną poświatę?
Kryształowo czyste i świeże są wody ich górskich strumieni...
Jakżeż im poznać: splot chwastów trujących — pnączów stoczonych czerwiem i ciężkich bezwładem?
Cudne przędziwo tkane w tragicznych snach twego dzieciństwa,
Poszłoby w strzępy w ich niezdarnych dłoniach.
Mroczne, smutkiem zasnute światło duszy twojej pomyka w dal, gnane naiwnym dziecinnym ich śmiechem.
Lecz twoje czyny — czyny twoje Mistrzu!
w nich my do ciebie należym —
Mistrzu! myśmy tam jako dzieci —
i bojaźń święta nas ogarnia przed walką Olbrzyma,
Jakże żywy wstąpiłeś do grobu i bój stoczyłeś zwycięski ze śmiercią;
Dałeś świadectwo prawdzie, że w żyłach Zmarłej — czerwonej krwi żywe strumienie —
Własnemi ramiony podźwignąłeś Zmarłą —
I ukazałeś ją oczom całego Ludu!
Trud twojego żywota — to prawie jak cuda Nazarejczyka.
Potęga walki twojej wyższa nad Nazarejskie władztwo pokoju!
Stanisławie Wyspiański — człowieku z imieniem szermierza!
Poprzez niezmierzone wód morskich przestrzenie ślemy ku tobie orędzie —
A te są jego słowa: „On leży w Polsce, a Polska myśli, że umarł —
Lecz on kłam zadał śmierci — i czuwa Strażnik Niezłomny!
W olbrzymiem jego sercu tętni krew żywa, purpurą przez żyły jego płynąca.

Tłomaczył *Floryan Sobieniowski*

Pisząca pod pseudonimem 'K. Mansfield', młoda autorka angielska, Irlandka z pochodzenia – o nazwisku francuskiem — za ojczyznę swoją uważa Nową Zelandyę, „a little island, cradled in the giant sea bosom“, gdzie się urodziła, gdzie spędziła dzieciństwo i lata pierwszej młodości i gdzie obecnie po dłuższym pobycie w Ameryce i Europie – chwilowo przebywa.

Dziwnem zrządzeniem losu – ta bogata, szczerze artystyczna natura, łącząca w sobie harmonijnie wszystkie rafinowane cechy i subtelności europejskiej kultury, z egzotycznymi elementami, których nabyła w obcowaniu z bujną i pierwotną przyrodą Nowej Zelandyi, tudzież w dłuższem, bezpośredniem pożyciu z dzikiem, tubylczem plemieniem Maorysków — zetknęła się z historyą i literaturą polską. Pobieżne poznanie historyi naszej z książki niedawno zmarłego profesora oksfordzkiego Williama R. Morfilla (Collection: Stories of the Nations) poznanie szeregu arcydzieł literatury naszej z nielicznych tłomaczeń francuskich, angielskich i niemieckich, wzbudziły w autorce „The Old Mother“, tak szczery i żywy zapał dla dzieł, które odkrywają jej „odrębny i nowy świat uczuć i myśli“, że postanowiła wyuczyć się języka polskiego.

Z poetów naszych największe wrażenie wywarli na nią Norwid i Wyspiański. Z dzieł tego ostatniego poznała w całości „Sędziów“ i „Klątwę“, przełożone na język niemiecki przez K. Różyckiego

Poznanie całokształtu twórczości (ze streszczeń, dokonanych przez podpisanego,) na tle historyi porozbiorowej i dokonywującej się „w całej polskiej naturze“ przemiany, wczucie się w pełne tragizmu życie autora „Wesela“, odbiło się żywem echem w wrażliwej duszy i artystycznej wyobraźni autorki „Wonder of Maoriland“. Wyrazem tego przejęc a się jest niniejszy utwór, który z łatwo zrozumiałych przyczyn nie mógł być drukowanym na łamach pism angielskich

I choć to tylko głos jednostki, nie mającej dziś jeszcze znaczenia „reprezentatywnego“ - to jednak ze względu na szczery zapał i dobrą wolę poetki, która w przyszłości może oddać nie jedną przysługę literaturze polskiej, należało go dać poznać polskim czytelnikom.

Co do utworu samego, to – poza szczerością entuzyazmu, poza nie pozbawionem efektu a świadczącem o krytycznej świadomości autorki – zestawieniem różnic dwóch światów - uderzyć winna kryjąca się w treści myśl, że jest, że istnieje jedna, wspólna w całej ludzkości mowa, zrozumiała pod każdą szerokością i długością geograficzną – mowa Czynu.

Floryan Sobieniowski.

CEZARY JELLENTA.

Krwawe kwiaty.

Sonety.

I.

Dół opoki skrwawiła gęstwina azalii
I krasne rododendrów pobluzgały brogi,
A nad niemi szkarłatne rozkwitają głogi,
Jak nad płonącem morzem ławice korali.

Niebo złotym upałem majowej Walhalli
Nieprzystępne i dumne, żagwiąc skał podnóże,
Sądzi, że krwawsze snopy i piękniejsze róże
Nie zwieńczą skromnej kunsztu człowieczego skali.

Ktoś z nad głazu odpłacił niebu ludzkim szydem,
I zaśmiawszy się dziko, jednym wściekłym susem,
Pogrzebał siebie w kwiatach, z swym bólem i wstydem.

W miesiąc skoczył tak drugi. I odtąd na zawsze
Kwietne podnóże skały stało się orkusem,
I od krwi ludzkiej bierze farby jeszcze krwawsze.

II.

Na miedzianej koronie, uplecionej z włosów,
Grają złociste zorze wschodu i zachodu,
Jak brąz turni w okowach wieczystego lodu,
Kiedy wybłysnie czołem z tatrzańskich kolosów.

Pod nią zieją dwie ciemne lazurowe głębie,
Nie poruszone drgnieniem, krwiożerczo spokojne,
Ciągną na dno, kaźniami wymyślnemi hojne,
I blaski wysuwają, jak szpony jastrzębie.

A niżej rąk i piersi marmurowe stromy
Białem bogactwem kuszą, jak Karary łomy
I chętniebym z nich wykuł kształty, mnie łaskawe,

Albo młotem w miedziany uderzywszy dyadem,
Patrzał, jak nagłej śmierci omroczone czadem,
Lazury ocz wraz z mózgiem w jedną spłyną lawę.

III.

Zanim z tego wiszaru, co w przestwór błękitu
Złowrogie kły wyszczerza, krokiem śmierci runę,
Ogarniam życia mego wielką krwawą łunę
I duszy mej wyżyny od szczytu do szezytu.

Już cofać się zapóźno. Poza mną pustynie.
Kryształny piach bezżądzy, suchy krzew ukoju,
Ostatnia kropla pragnień wyschła w serce zdroju,
I rozum w twierdzę zmienił marzenia świątynię.

Przedemną czycha miłość; zdradny nurt tęsknoty
Powali mnie i złamie, zatruje bezcześci,
Zatopi gmach potęgi i poszczerbi młoty.

Więc niechaj raczej czucie rozwite napoły,
Jak płód niedonoszony szczęścia i boleści,
Wraz ze mną się rozstrzaska o granitne doły!

FELIKS GWIŻDŻ.

„DOBRZY LUDZIE“

KOMEDYA W 3 AKTACH.

AKT I.

Scena 8.

Wchodzą *dwaj siwi staruszkowie* o nosach orlich, o włosach długich, a białych, jak śnieg. Za kapeluszami, strojnymi w kostki orawskie, migocą im się pióra z dzikiego koguta. Serdaki jerzą się kwiecistemi wyszyciami. Portki i kerpce nowiuteńkie. LEJZUŚ. CYPRYAN. WIKTA. JAWOR. BRZEZINA.

JAWOR i BRZEZINA.

Pochwalony Jezus Chrystus!

WIKTA i CYPRYAN.

Na wieki wieków!

LEJZUŚ.

Amen, amen!

JAWOR.

Zdrowiście wszystka wraz?

BRZEZINA (wpadając w ton Jawora).

Co tu słychać?

WIKTA.

Bóg zapłać. Wyście zdrowi?

CYPRYAN.

Siadajcie.

JAWOR (siadając).

Dyć się ta trzymamy po maluśku.

BRZEZINA (siadając).

Haj, haj... po maluśku.

JAWOR.

Obszerne macie stancyje —

BRZEZINA.

...po dwoch stronach —

WIKTA.

Po tamtej ta Alejzy siaduje.

JAWOR.

Lejzuś, Lejzuś... pociecha nasza.

BRZEZINA.

Radość nasza.

LEJZUŚ.

Gorycz wasza.

JAWOR.

A zawdy umie pedzieć naprzekór.

BRZEZINA.

Tak jak i ja.

JAWOR.

Co? ty?

BRZEZINA.

No a cóż? może nie?

JAWOR.

Oj, ty biedaku kochany...

BRZEZINA (urażony).

Cóż wy se myślicie?

JAWOR.

Co se myślę? To se myślę, że odkąd towarzyszę z tobą — zaczkajcież — niebożyczki nasze pomarły bedzie ze dwadzieścia roków — no to od tego czasu jeszczem też ani jednego pieknego powiedzenia nie usłyszał od Ciebie.

LEJZUŚ (do Brzeziny).

Pewnie wam baba zabrała mózg do grobu!

JAWOR (wybucha śmiechem).

Pewnie, pewnie!... Ono inaczej nie było.

BRZEZINA (do Jawora).

Nie śmiejcież się tak, nie dworujcie!

Z wigilijnych obrazków.

W chłopskiej chacie.

Do izby wbiegło chłopię, krzycząc wesoło: „Już jest, już zeszła, patrzcie jak mruga nad lasem!"

Z ławy podnosi się gazda, poprawia trzosa i mówi: „Ano, więc poczynajmy."

Z czeladnej odowiada mu głos niewieści: „Wieczerzę mam gotową. Wołaj czeladź."

Gazda staje na progu chaty i woła: „Iwanie! Marto! Wasylu! Chodźcie ino wszyscy!"

Na to wołanie, zaczynają po śniegu skrzypieć nowe buty, słychać szelest kożuchów i jakieś uroczyste chrząkanie.

Pierwszy wchodzi najmita ze sporym, jak biały niedźwiedź, snopem żyta i stawia go w kącie, jako zwyczaj starodawny każe. Za nim młodyca czerstwa i rumiana, jak gdyby z łuną ognia na twarzy, od tego pieca bijącą, przy którym dzień cały stała, gotując wigilijne potrawy. Za młodycą staruszka, gaździna domu, ze sporym garnkiem dymiącego barszczu. Stają dokoła skrzyni, nakrytej pięknie przetykanym obrusem, z pod którego, jak włosy z pod czapki, wyzierają kłapcie pachnącego siana. Obrazy wyszywanemi ręcznikami przystrojone, szyby u okien odchuchane, po izbie, jak po cerkwi, snuje się dym kadzidła.

Gazda bierze prosforę, kraje i smaruje ją miodem. Czyni to zwolna, nastrojowo, jak kapłan spełniający ofiarę.

Potem siwe włosy, na czoło spadające, odgarnia i patrzy po izbie oraz po zebraych. „A Wasyl gdzie? Zawołajcie Wasyla!" powiada.

„Prawda — odrzekną mu — Wasyla jeszcze niema" — i rumiana młodyca wychodzi przez sień do alkierza.

Po chwili wraca, prowadząc pod rękę chłopa dużego, o twarzy urodnej, ale strasznej, jakgdyby wpatrzonej w coś okropnego. Olbrzymia jego postać ciska się w konwulsyjnych drgawkach, usiłując na jednej nodze przedostać się przez wysoki próg izby. Dokoła niego skaczą wieczorne cienie, wygięte i połamane, jak gdyby naigrawały się z niego. Cichy jęk, uderzenie głową o nizkie odrzwia i postać zbliża się ku skrzyni.

„Ja sam, zostaw, ja sam" — mruczy niechętnie, wstydząc się swego kalectwa.

Gazda podchodzi z prosforą. „Daj nam Boże, od Narodzenia do Zmartwychwstania, od Zmartwychwstania do stu lat, póki nam Pan Bóg wyznaczył lat".

Łamią się i spożywają.

„A tobie synu — zaczyna stary, podchodząc do kaleki — a tobie...." ale mu głos poczyna drgać i łamać się w gardle.

W izbie robi się ciemno. Tylko przez sień, z czeladnej, od ognia na paleniska, pełzną języki czerwonego światła. Słychać, jak na przypiecku trzeszczy buk suchy i piszczy, niby dusza w piekle, mokra osika.

„Zapalcie świecę!" — powiada gazda, siadając do wieczerzy.

Synowa jakoś długo szuka zapałek, jakby się światła bała.

Błysło i wszyscy głowy pospuszczali w dół.

Między nimi, przy wigilijnym stole, siedział ktoś, niby bliski i drogi, a przecież daleki i straszny, niby z drugiego świata.

Z urodnej twarzy ma wyrwany kęs ciała, jakby się ze zwierzem dzikim żarł, błękitne oczy poszły mu w słup, a usta drżą nerwowo. Zda się, mają powiedzieć jakieś okropne słowo, na które wszyscy zerwą się z miejsc swoich i poczną pędzić precz.

Tylko matka, rodzona matka, patrzy na niego z litością i kiwa głową, jakby za trumną szła i zawodziła: „A któż mi cię, mój synu, tak oporządził, kto mi cię tak ozdobił..,"

Kto?

Ten, co czaszkami waszych ojców z Azyi do Europy drogę brukował, na kościach przodków waszych Babilon nadnewski zbudował, was jako trzodę bezrozumną, pod mury Pragi i na skały Kaukazu pędził, na podeptanie wolności, na urągowisko światu.

A w nagrodę za to język wam z gardła wyrwał, na pogwałcenie żon i cór patrzyć kazał — patrzyć i milczeć. Czy wiecie kto?

A oto jedna tylko trzaska z pod tej carskiej siekiery, co tamę ochronną swoim zapędom nad oceanem Wielkim stawiać chciała. Tama nie wytrzymała fali runęła...

Jedzcie spokojnie wasz chleb i pokrapiajcie łzami!

Czegóż opuściliście głowy wasze, dlaczego spojrzeć nie chcecie w twarz waszego syna, ojca, brata? Czy boicie się tych oczu, niegdyś błękitnych, jak niebo, dziś martwych, jak lody północy, po których chodzi wieczne przerażenie? Ujrzały one w jednem okamgnieniu całą krzywdę przeszłości i wszystką teraźniejszej chwili, a wy ich obraz nieście aż w pokolenie dziesiąte, jako krzyk o pomstę wołający!...

Jedzcie spokojnie wasz chleb....

Patrzy matka w okropne oblicze syna — żołnierza i głowa jej kiwa się z boku na bok, jakby za trumną szła i przemawiała: „Któż mi cię wróci mój synu jedyny, pociecho lat starości? Któż wnuka mego, a syna twego wychowa, kto gazdą po nas na tem gazdowstwie ostanie?...."

A potem wstaje i tamując jęk w duszy, podchodzi do syna kaleki. Podnosi jego rękaw i w resztki palców wtyka łyżkę: „Jedz synu, jedz, barszcz dobry, wigilijny."

„Dziękuję wam, matko, ja sam, sam," — odpowiada z utkwionymi w jakiś martwy punkt oczyma. Niepewnie, trwożnie zniża łyżkę do miski, nabiera barszczu, podnosi i stara się doprowadzić ją do ust. Lecz nie doniósłszy, rozlewa po sobie.

Po białym kożuchu spływa czerwony płyn...

Bezmyślne oczy zrywają się, postać prostuje się, powstaje, usta drgają i ze zdławionej gardzieli wyrywa się głos dziki, obłąkany: „Krew! Ja nie chcę krwi! Ja nie chcę!"

Przewraca ławę, trąca chłopaka-syna, który tak radośnie witał przed chwilą pierwszą wigilijną gwiazdkę i zataczając się na tej jednej nodze, od ściany do ściany i głową uderzając o piec i o odrzwia uchodzi precz ze świetlicy.

„Synu!" woła za nim matka.

„Wasylu!" krzyczy żona.

„Zostawcie go..." uspokaja ojciec.

— — — — — — — — — — — — —

Jedzcie spokojnie wasz chleb....

Bohdan Łepki.

WALT WHITMAN.

Walt Whitman (1819 — 1892) należy do najoryginalniejszych i — powiedzmy odrazu — do największych poetów XIX w. Pierwszy, prawdziwy „autochton" w literaturze amerykańskiej, z całą świadomością i konsekwencyą dążył do stworzenia odrębnej, nowej formy, któraby z klasyczną harmonią odtwarzała tempo i rytm duchowego życia Nowego Świata. Dokonał tego po 30 latach wytężonej pracy; jej owocem jest główne dzieło Whitmana, noszące tytuł: „Liście traw" (Leaves of Grass), pisane i wydawane kilkakrotnie w coraz doskonalszej formie — w latach od 1850—80.

Wytrwałość i szczerość artysty dokonały swego; nie zmogły go wysiłki pigmejów. Głosy artystów tej miary, co Emerson, Addington Symonds, Swinburne, Dante Rosetti, Morris i Ruskin, postawiły go w rzędzie twórców takich, jak Mazzini, Carlyle, Browning, Nietsche i Tołstoj. To też, nie mówiąc o Ameryce, gdzie wychodzi specyalne pismo, poświęcone kultowi Whitmana, gdzie idee jego szerzy osobne towarzystwo, w całej Europie rośnie literatura, poświęcona życiu i twórczości W. Whitmana.

U nas głucho o nim dotąd; nieliczne, przygodne wzmianki, często bałamutne, w bieżącej prasie, nie mogą oczywiście wchodzić w rachubę. W niedługim czasie ukaże się „Wybór pism" z obszerną monografią. *F. Sobieniowski.*

Kiedy w głębokiej zadumie.

Kiedy w głębokiej zadumie,
Zwrócony myślą ku mym poematom, w długiem skupieniu je rozważałem,
Widmo uniosło się przedemną, z wyrazem niedowierzania,
Złowieszcze w swej piękności, żywotności i mocy:
Geniusz poetów starego świata;
I skierowawszy ku mnie dwu-płomień swych oczu,
Wskazując palcem szereg nieśmiertelnych pieśni,
I groźny podnosząc głos: „Cóżto ty śpiewasz?" rzecze,
„Żali nie wiesz, że jeden tylko temat dla wieszczów, których udziałem wieczność?
Że jest nim: Walka, bojów przemienny los,
I stwarzanie nieskazitelnych rycerzy".
Niechże tak będzie! — odparłem w odpowiedzi —
I ja też, wzniosły Cieniu, śpiewam bój, dłuższy i bardziej zacięty niż inne;
Stoczył się on na kartach dzieła mego z różnem powodzeniem: z ucieczką, szturmem i odwrotem, ze zwłoką i niepewnością zwycięstwa —
(Lecz myślę, że ostatecznie pewne ono, lub tak dobrze jak pewne), — na bojowisku świata,
O Życie i Smierć, o Ciało i nieśmiertelną Duszę.
Zważ! jam przybył również z bojowym na ustach śpiewem,
I ja przedewszystkiem budzę do życia dzielnych bojowników.

Ktokolwiek jesteś, który mnie teraz trzymasz w dłoni.

Ktokolwiek jesteś, który mnie teraz trzymasz w dłoni,
Bez jednej rzeczy, wszystko daremnem będzie,
Rzetelnie daję-ć przestrogę, nim sobie dalej ze mną poczniesz:
Nie tem jestem, za co mnie uważasz, lecz czemś zgoła odmiennem.
Któż jest, ktoby mi zechciał towarzyszyć?
Któżby się przyznał, że się ubiega o względy uczuć moich?
Podejrzana to droga, skutek niepewny, może zgubny,
Porzucić będziesz musiał wszystko, a jeden wedle prawa stanę się twoją jedyną i wyłączną normą,
Lecz i w tym razie czas próby twej będzie długi i wyczerpujący,
Przyjdzie ci się pożegnać z całym twoim poglądem na życie i zerwać z życiem, które cię otacza,
Przeto opuść mnie teraz, nim trud podejmiesz dalszy, ujmij dłoni swej ramionom moim,
Porzuć mnie i idź swoją drogą.
Ale tajemnie, gdzieś w głębi boru, dla próby,
Lub w skał ustroniu, na otwartem powietrzu,
(Bowiem nie odsłaniam mej istoty w salonach krytych dachem domów, ani w towarzystwie,
I w bibliotekach leżę jak głuchy pień, jak matołek, nieżywy trup)
Zdarzyć się może sam na sam z tobą na wyniosłem wzgórzu, sprawdziwszy poprzód, że nikt w milowym promieniu niepostrzeżenie się nie zbliża,
Lub może, gdy żegluję z tobą na pełnem morzu, czy tuż nad wybrzeżem, lub też na cichej jakiejś wyspie —
Tam — zwolę, by się twe wargi zwarły z mojemi,
W długotrwałym pocałunku przyjaciela i nowożeńca,
Gdyż nowożeńcem jestem i przyjacielem.
Lub jeśli wola, ukryj mnie w fałdach szaty swojej,
Bym mógł czuć bicie twego serca lub spocząć na biodrach twoich,
Byś mnie niósł z sobą, czy lądem dążysz, czy płyniesz wodą
Bowiem wystarczy i najlepsze to obcowanie z tobą,
I w takiem z tobą obcowaniu pragnąłbym zasnąć spokojnie i być tak niesionym na wieki.
Lecz zagłębiając się w treść tych kartek, zagłębisz się z własnem niebezpieczeństwem,
Gdyż nie pojmiesz ni tych kartek, ni mnie,
Bowiem wymkną ci się z początku, a bardziej jeszcze po czasie, i ja się wywinę z pewnością,
W chwili, gdy sądzić będziesz, że mnie masz ponad wszelką wątpliwość, patrz!

JAWOR.

Jakoż nie mam dworować, kiedyś ty ino ciemięga? nie wiesz nic...

BRZEZINA.

Hoho! Ja wszystko wiem. Ja ino tak jakosi nie wiem, że wiem. Ale jak ino co, kto powie, to ja już wiem, że ja to wiedział...

JAWOR.

Bóg zapłać za takie wiedzenie.

CYPRYAN.

E, co ta gadać. Kumoter Brzezina hań też nie głupi.

BRZEZINA.

No, przecie.

JAWOR.

Sam se poświadcza. A bodajże cię, ty mój biedaku kochany (przytula Brzezinę ku sobie i całuje go w usta). No — śpasy śpasami, a my tu do was po interesie.

BRZEZINA.

A spieszno nam, bo w polach robota. Ludzie koszą, czasu nie trza zabierać.

WIKTA.

Co nam też powiecie?

JAWOR.

Wam nic. Lejzusiowi, toby my mieli co pedzieć. Ale to tak na sucho... (Trąca Brzezinę).

BRZEZINA (wyciąga z rękawa guni dwie litrówki wina).

LEJZUŚ (zdumiony).

Ki dziadzi?

WIKTA (porządzi stół).

CYPRYAN (zmieszany nie wie, co począć z sobą)

LEJZUŚ.

Cóż te macie do mnie?

WIKTA (stawia na stole pięć kieliszków)

JAWOR (nalewając).

Napij się Lejzuś z nami, potem się zgadamy.

BRZEZINA.

Haj!

LEJZUŚ.

Nie będę pił.

JAWOR.

Lejzuś, przy tym samym stole niejeden litr wina wypiłem z ojcem twoim, te ściany ojcowskie — rodowe patrzą...

(Lejzuś bierze za przykładem wszystkich kieliszek wina, trąca się, od Jawora począwszy, ze wszystkimi i pije. Poczem popijanie idzie dość raźno.

JAWOR.

Uherskie wino...

BRZEZINA.

Grzeje — — —

JAWOR.

Hehe, sprośniku jeden! Nic ta tak nie grzeje, jak baba, — hę?

(Wszyscy z wyjątkiem Lejzusia i Cypryana wybuchają śmiechem, poczem Wikta podchodzi do łóżka i wydobywa z pod zagłówka dużą kukiełkę).

WIKTA.

Zakąście, moiściewy...

LEJZUŚ.

O, źle...

JAWOR (pijąc i jedząc).

Ja se tak patrzę na tego Lejzusia i żal mi go.— Na zdrowie pijcie... owdowiał wtedy, kie się mógł brać dopiero do żeniaczki. Markotnie musi być biedakowi, bo jakoż? (do Lejzusia) Pij bracie!...

LEJZUŚ.

Bóg zapłać, nie będę pił. A co się tyczy tego, to ani się spodziejecie, jak mi bez baby dobrze.

JAWOR.

Hale! to ci się ino tak zdaje, pokąd jest brat, poczciwa bratowa, niby Wikta — —

Nim się spostrzeżesz, już ci się wymknąłem.
Gdyż napisałem tę książkę nie gwoli temu, co w nią tchnąłem,
Czytaniem tego nie dosięgniesz,
Nie ten mię poznał najlepiej, kto mnie podziwia i kto mnie w zachwycie sławi,
A zwycięstwo nie będzie udziałem tych, co się o miłość moją ubiegają, (wyjąwszy chyba bardzo nielicznych).
I nie będą moje poematy działać dobro jedynie, będą działać też wiele złego, może nawet więcej,
Bowiem wszystko daremnem jest bez tego, co możesz odczuć w pewnych chwilach, lecz nie przejąć do głębi, a co ja wskazałem;
Przeto opuść mnie i idź swoją drogą!

Tobie, o Demokracyo!

Pójdź! stworzę nierozerwalny kontynent,
Rasę stworzę pod słońcem najprzedniejszą,
Stworzę boże, magnetyczne lądy
Spojone bratnią miłością,
Spojone bratnią miłością na życie całe.
Społeczność będę szczepił, jak drzewa wzdłuż rzek Ameryki, wzdłuż wielkich jezior wybrzeży, poprzez stepową prerýi dal,
Stworzę miasta, które się nie rozłączą, związane wzajem dłońmi i ramiony,
Spojone bratnią miłością,
Męską i bratnią miłością.
To dla ciebie ode mnie, o Demokracyo, Tobie wiecznie służyć, ma femme!
Dla ciebie, dla ciebie te pieśni!

Żaliś ty nową osobą, która się ku mnie skłania?

Żaliś ty nową osobą, która się ku mnie skłania?
Póki czas, przyjm przestrogę: zaprawdę, jam inny zgoła, niż przypuszczasz;
Przypuszczasz może, że znajdziesz we mnie swój ideał?
Sądzisz może, że to tak łatwo pozyskać moją miłość?
Sądzisz może, że przyjaźń ze mną zapewni niezmącone zadowolenie?
Sądzisz może, żem wierny i wiarołomstwa niezdolny?
Nie sięgniesz wzrokiem głębiej, poza zewnętrzną powłokę, poza granice wytwornej i ujmującej maniery?
Przypuszczasz może, żeś się na gruncie rzeczywistości, zetknął z istotnym bohaterem?
Nie pomyślał-żeś marzycielu, że to wszystko może być złudą, iluzyą?

Gdy czytam o zdobytej sławie.

Gdy czytam o sławie, zdobytej przez herosów i o zwycięstwach dzielnych generałów, nie zazdroszczę jej generałom,
Ni Prezydentowi jego dostojeństwa, ni bogaczowi jego magnackiej siedziby:
Lecz gdy słyszę o braterstwie tych, co się miłują, jak im się z tem wiodło,
Jak razem przez życie, niebezpieczeństwa zawiści niezmiennie długo i długo,
Poprzez swą młodość, dojrzałość i starość, niezłomnie, wiernie w miłości, wytrwali,
Wtedy popadam w zadumę — i w dal uciekam z pośpiechem, pełen gorycznej zazdrości.

Sen śniłem.

Sen śniłem, a w nim widziałem Gród, niedostępny atakom całej reszty ziemi,
Śniłem, że to był Nowo-gród Przyjaciół;
Nic tam nie było wyższego ponad przyrodzoną moc miłości; ona rządziła wszystkiem,
Przebijała o każdej porze w czynach mieszkańców tego grodu,
Widać ją było w każdem spojrzeniu i słowie.

Chwila tęsknoty i zadumy.

Kiedy samotnie siedzę w chwili tęsknoty i zadumy,
Zda mi się, że w obcych ziemiach są ludzie, również tęskniący i pełni zadumy;
Zda mi się, że mógłbym dojrzeć ich twarzy, w Niemczech, Włoszech, Francyi, Hiszpanii,
Lub dalej jeszcze — gdzieś w Chinach, w Rosyi lub Japonii, obcą mówiących mową,
I zda mi się, że gdybym mógł poznać tych ludzi, uczułbym do nich przywiązanie, jak czuję do mych rodaków,
I wiem, że bylibyśmy sobie braćmi i miłowalibyśmy się wzajem,
I wiem, że czułbym się wśród nich szczęśliwym.

Słyszę, że obciążono mnie zarzutem.

Słyszę, że obciążono mnie zarzutem, jakobym burzyć chciał instytucye,
Lecz w istocie, ni za ni przeciw nim nie jestem,
(Co właściwie mogę mieć wspólnego z nimi, lub z ich burzeniem?)
Ja chcę jedynie w Mannahatta i w każdem mieście Stanów, wewnątrz kraju i nad morskiem wybrzeżem, na pokładzie każdego statku — mały on czy wielki — który pruje wód fale,
Bez gmachów, bez statutów, bez komitetów i bez wszelakich dowodzeń,
Położyć kamień węgielny pod instytucyę serdecznej, bratniej miłości.

Z angielskiego oryginału tłomaczył *Floryan Sobieniowski.*

PRZEKŁADY.

PAWEŁ VERLAINE.

JESIENNE DŹWIĘKI.

Poèmes saturniens.

O, gęśle, pełne
melancholii!..
Łkająca jesień
struny mota;
truchleje serce
i powoli
dzika ogarnia
je tęsknota —
Nad ziemią obłok
zawisł siny,
płyną śmiertelne
z pól rozpacze,
z głuchym pobrzękiem
mrą godziny,
a serce szczęścia
woła... płacze...
Oto mnie błędne
wiodą stopy
gdzieś na jesiennych
burz wybuchy:
ginę wśród liścia,
który w tropy
wlecze się za mną
martwy... suchy. —

WIECZÓR.

W górę, po turni chmur szarej,
skrwawiony księżyc się wspina,
po polach kłębią się pary
i głośno brzęczą moczary:
żab chórem wodna drży trzcina.

Na stawu gładkiej roztoczy
liliowe drzemią wód kwiatki,
rząd topól groźnie się mroczy;
po haszczach, w świetli przeźroczej,
mkną świętojańskie owadki.

przez grubą ćmę nietoperze
gnuśnymi loty się niosą,
hen słodko błyszczy w eterze
Wenus i w ciemne bezbrzeże
z promiennych włosów dżdży rosą.

MÓJ SKARB I JEJ KOTEK.

W świetlistej czołgał się smudze
przez szyby biały miesiączek:
igrało w okna framudze
dwie łapki i dwoje rączek.

Ze swoją bawisz się kotką,
w rękawiczkowej ściel skórki
krwiożercze kryjąc pazurki,
zła, chytra — droga istotko!

Smakują kotce pieszczoty!
Szatan w mięciuchne obsłonki
wtula drapieżne swe szponki.

Stłumione słychać chichoty...
W pomroce żarzą się szarej
fosforem oczu dwie pary.

SIELANKA.

Fêtes galantes.

A b b é, ty bredzisz!... O, m a r q u i s,
Peruka ci się zwija —
— Słodko ten cypr na wargach skrzy,
słodziej twa naga szyja,

O, luba!... — D o, m i, s o l, l a, s i. —
Abbé, ach! już się znamy.
Pasterko, patrz! tam gwiazda lśni,
Zrywam ją dla mej damy. —

Pinczerkiem być, nalepsza z ról! —
Teraz z ust każdej czar
pijmy koleją — d o, m i, s o l...
księżycu, b o n s o i r!...

NA PRZECHADZCE.

Niebo blade, smukłe drzewa
z śmiechem parzcie na pstre szaty,
które w dziwny kształt skrzydlaty
wiatr i lekka myśl rozwiewa.

Na szkle stawu świetl gra drżąca,
złoty blask po hal zieleni,
a wśród modrych lipy cieni
Śmierć się czai i w liść trąca.

Giermki, damy pełne krasy,
wymieniamy przysiąg krocie:
Miłość w śmiechu i w szczebiocie,
w lube puszcza się zapasy.

Mych zuchwałych ust gorączkę
karci skrycie ręka słodka, —
„O, tę zbrodnię kara spotka“ —
w lot całuję śliczną rączkę.

Śmiałość mi nie uszła pusta:
chłodnym wzrokiem ku mnie toczy,
lecz, że srogie kłamią oczy,
uśmiechnięte mówią usta...

Tłomaczył *Lew Ryszard.*

MARYA MADELEINE.

KAPŁANKA AFRODYTY.

Chcę brylantowych pierścieni od ciebie
i chcę szmaragdów, rubinów bez liku
i niewolników tysiące przedemną
rzuć na kolana, ty — sam niewolniku!

I niechaj długie pereł białych zwoje
jak żwir w strumieniach mych włosów szeleszczą!
i zausznice daj mi złote, niechaj
z przekrasnych liców mych kwieciem się pieszczą!

Chcę się w przepychu kąpać i klejnotach,
niby prastare pogańskie bożyszcze,
z którego źrenic w ponurych migotach,
występków rzadkich okrucieństwo tryszcze.

WIKTA.

Dyć mu nieroz gadam.

JAWOR.

Ale jak ci ich zabraknie, co poczniesz, sieroto?

LEJZUŚ.

Nie zginę.

JAWOR.

Młodyś, chłopino. Cóż ty masz? pewnie ze trzydzieści trzy roki. Jeszcze nic nie wiesz o świecie. Jaby ci dopiero pedział, co jest świat, co jest życie. Przeżyło się trzy baby — wszystkie się wykopyrtły, ja został. To je bratku, śtuka.

BRZEZINA (do Lejzusia).

Ja, na ten przykład, (popija)... ja miał jedne babe. Ale starczyła za trzy. A taką przeżyć, to jeszcze większa śtuka, wiesz bracie?

JAWOR.

Postarzałem się; nie mam już mocy na babe. He, Boże ty mój, żeby była — dziśbym się żenił, a ty się żenić nie chcesz?

LEJZUŚ.

Ani nie myślę o tem.

WIKTA.

Tak wej zawdy odpowiada.

JAWOR.

Nic to, wyszumi. Baba mu się zaleca ładna, gdowa majętna — —

LEJZUŚ.

Nie plećcież głupstw; ani słyszeć o tem nie chcę.

WIKTA.

Opamiętaj się! Słyszana to rzec, coby baba pierwsza posyłała na namowiny?

BRZEZINA.

Haj, haj...

JAWOR.

Toż to musi być chyba do cna zalabiona w Lejzusiu, skoro tak o niego stoi.

LEJZUŚ.

Choćby tu sama przyszła, do nóg mi padła, nie żenię się.

BRZEZINA.

A wiesz choć, co za jedna tak cię szuka?

LEJZUŚ.

No? To przecie musi być ciekawe —

JAWOR.

Gdowa młodziuśka, tłusta, czerwona na gębie, ubita w sobie, baba — jak piec...!

BRZEZINA.

Magda Zimna z Działu — —

LEJZUS.

W imię Ojca i Syna — — a niechże was do stu dyabłów!... (Jak wicher, schwyciwszy w garść kapelusz wybiega).

Scena 9.

CYPRYAN. WIKTA. JAWOR. BRZEZINA.

(Długie milczenie).

JAWOR.

Bedzie.

BRZEZINA.

Bedzie.

(Pauza).

JAWOR.

Bedzie.

BRZEZINA.

Bedzie.

JAWOR.

Cożby nie było?

W perliście piennym winnych jagód soku
umaczać pragnę warg czerwonych żar –
i niech z srebrzystych muślinów obłoku,
świeci i wabi moich członków czar!

Niech kwiaty białe, bezłodyżne, w koło
obsiędą łoże me nakształt motyli,
a twa blond głowa, twe książęce czoło,
do samej ziemi z drżeniem się uchyli

i proch z przed moich sandałów niech ściera!
Ja śmiać się będę chucią zębów białą
i jak spragniona karesów pantera
prężyć się będzie, przeciągać me ciało!...

Cicho! Co szeptasz? Co znaczy to słowo?
cień skrzydeł ciemnych Milczenie rozwleka;
tylko stłumioną nutą i echową
wciąż i bez końca niech dźwięczy z daleka

rozkołysanych w krąg harmonii gwar –
Słyszysz?... Na skrzypkach gra śmiech, jęk się miota?
chciwie, jak wargi, które pali żar,
smutnie, jak – wieczna Tęsknota.

Wszystkich mi wołaj! Chcę czuć chłopiąt dreszcze
bladych, marszczących dziwnie chmurne brwi
których źrenice nie dotknęły jeszcze
na jawie tego, o czem ciało śni –

warg hardych, których nigdy jeszcze wdzięku
nie struła czara pocałunków szczodra
i ramion, z których nie spłoszyły lęku
lubieżnych kobiet nagie, chciwe biodra –

i dziewcząt, których od żądzy wychudła
postać się winie, świecą głucho oczy,
kiedy wśród nocy z czarnych tęsknień źródła
fala pragnienia zmysły im omroczy –

tych dziewcząt, które szlochają boleśnie,
kiedy o wiośnie rozpalonej słońcem,
giąć się wydają i łamać czereśnie
młode pod ciężkiem brzemieniem kwitnącem.

Wszystkich mi wołaj! A wtedy powstanę
z łoża krytego bujnem złotogłowiem
i jak królowa, patrząc na poddane
mrące w pustyni, te słowa im powiem:

„Wy, którzy mrzecie z głodu za rozkoszą,
wy wszyscy, pieszczot rozpragnieni żądzą
i warg, co dziko całując pustoszą
i rąk, co ranią, gdy po ciele błądzą –

Wy, których siły grunt chłonie upalny,
gdyby potoku wylewne ruczaje
i których chuci modlitwie błagalnej,
marzenie ledwie wysłuchanie daje –

spłomieńcie żądzę, która wam rozżarza
członki, boleścią trawiąc je ukrytą:
na klęczkach módlcie się u jej ołtarza:
– O, monarchini ziem! o, Afrodyto!..."

. . . . : . . . .

W milczeniu waszem Sen grzechu się pali
tęsknotą w kwiecie płomienne rozwitą!
Łkające skrzypki przedzwaniają w dali –
– Miłości – daj nam, – Afrodyto!...

Tłómaczył *Lew Ryszard*.

LUDWIK VARRAIN.

EPITAFIUM.

O, ręce twoje pełne łask,
skąd się dnia mego wylśnił brzask!

Uroku cichy bladych warg,
gdzie oniemiało źródło skarg!

Duchu, wzniesiony ponad tłum,
jak ponad borem płacz i szum!

Straconych rajów złote drzwi,
u których miecz Cheruba tkwi!

Pamiątko, pełna srebrnych zgliszcz,
na które krwawy ścieka deszcz!

Słowa na płycie u mych stóp,
nad którą życie skrzepło w słup.

Tłómaczył *Lew Ryszard*.

BOGUSŁAW BUTRYMOWICZ.

MOC.

Za nienawiścią jest pogarda głucha
z śliną na wargach,
która się czai jak dziki zwierz, – słucha,
by pluć na serce, gdy w niem jęknie skrucha,
w wspomnienia nagłych zatargach.

O, serce, godne pogardy! O, wężu,
w czułość zwinięty!
zdław łzy, co trawią metale w pawężu
i w błyskawicznem piorun rzuć rozprężu
krwią uśmiechnięty!..

W sarkofagowe nie w kopuj się wnętrza,
gdzie popiół rzęzi:
żyj chwilą, która nad chwile jest prędsza,
co ponad inne zieloną się spiętrza
fontanną młodych gałęzi!

Zaczem cię własny dojdzie jęk, daleko
bądź – w innych stronach!..
Nie bądź ku źródłom swym pełznącą rzeką,
ł o n e m p r z y s z ł o ś c i b ą d ź, a wieczność mleko
ssać będzie w twoich ramionach!

W NOCY.

Cicho... tak cicho wkrąg,
jakgdyby zamarł świat wszystek,
ni róży nie zadrga listek,
ni fiołków nie westchnie pąk.

Nad wodą wodzą mgły pląs...
W pośrodku nadbrzeżnych wydm
zwolna kołysze się w rytm
stary, ogromny wiąz.

Tuż przy nim potworny chwast
szkieletne rozparł ramiona
w górę, gdzie modra opona
perłami złoci się gwiazd.

Cisza... Ha! cisza i strach:
w powietrzu śmierci dech czuć.
Patrz tam! Na wodzie w mgłach
majaczy bezwiośIna łódź.

Wspomnienia głuchy mi dzwon
Skądś z dali dzwoni i dzwoni
i nie wiem, z jakich to stron,
czy z niebios turni, czy z toni?...

I nie wiem, na jaki step
dusza myśl moją powlekła:
czy w piekło – rozkoszy nieb,
czy w niebo – męczarni piekła...

Powietrze stoi jak słup
stężałe, ciężkie, ponure:
na głowie nocy ma chmurę,
ziemię zamarłą u stóp.

Gromady przeklętych miast
płyną gdzieś pustką i nocą
i w skrzydła ciemne łopocą
czerepy wygasłych gwiazd.

Zabrakło złudzeń, świat wszystek
w zguby pogrążył się śnie,
w trąbkę się zwija i schnie,
jak oderwany z krzu listek.

Tylko wspomnienia skądś dzwon,
jak echo, idzie i dzwoni
pomarłych stron
melodyę przedziwnie smętną,

niby uwiędłej już skroni
ostatnie tętno.

EDMUND BIEDER.

DOLCE FAR NIENTE.

Młoda krew mi zawrzała i oczy się jarzą,
potop światła mnie zalał i sen przyszedł cichy:
ogromne i świetliste dale mi się marzą
i kwiatów purpurowych rozkwitłe kielichy.

Marzą mi się ziół pełne, pachnące ogrody,
marzy mi się słoneczno-błękitne południe
i leniwe przejrzyste, ciche, święte wody
i nimfy, pląs wiosenny zawodzące cudnie.

Dzień cichy, jasnozłoty – słoneczny dzień letni...
Blaskami oślepiony na murawie leżę,
a słońce tarcz olbrzymią nad mą głową toczy.

Faun gdzieś w gąszczu pieśń szczęścia wygrywa na fletni...
Śnią mi się usta Twoje rozchylone, świeże
i włosy twe pachnące i błękitne oczy.

STANISŁAW ORSKI.

Mój kwiat.

(Nowela).

Było to przed wieloma — wieloma, dawno już pomarłemi laty... Pewnego dnia spotkałem na jednej ze swoich samotnych i bezcelowych wędrówek — kwiat! Delikatny, biały, niewinny kwiat... Opustoszały na duszy, skołatany na ciele, zaśmiałem się szyderczo i podniosłem nogę, — aby to niewinne, delikatne, białe stworzenie wgnieść w ziemię — zrobić błotem!

Jak czyni się z własnymi wyrzutami sumienia, które skądś — z nieprzeczuwanej głębiny duszy wynurzone, niby żałosna twarz miesiąca, niby mara obłędna — wypłaszają ciemność, z jej głuchego snu — snu zbrodniarki.

Tak ja chciałem stratować ów delikatny, biały, niewinny kwiat — — który tak słodko patrzał na mnie, kiedy z mych, węglowych oczu piekielne szły ku niemu skrzenia, — — który litość czuł nademną, kiedy jabym chętnie szpony pięści wtłoczył w swoją własną duszę, w swój własny, rozwścieczony mózg!

Aby tylko stamtąd wieczny wyjąć ból — wyrwać, jak się rwie ząb... bolący, nadpróchniały ząb.

Podniosłem nogę...

Wtem spojrzał kwiat ów na mnie głębokim, niewypowiedzianie smutnym wzrokiem. —

i uczułem nagle morze miłosierdzia, wzbierające w dzikiej piersi mej.

bijące ku mej głowie,

zalewające oczy moje...

Schyliłem się i podniosłem z ziemi kruchą istotkę — wiecznie ukochane dziecię jasnych pól i błękitnego powietrza:

delikatny, biały, niewinny kwiat...

Ukryłem go troskliwie przy sobie i uciekłem.

Jak ucieka złodziej przed kradzieżą kradzieży, a która dłoń więcej znaczy, niż całe potem ociekające, błotem i krwią obryzgane ciała istnienie:

tak ja zaniosłem do domu swój skarb.

Swój cudowny i cudem prawie znaleziony skarb.

Zaniosłem go do pustego mieszkania, do swej ciasnej, bezradosnej izdebki.

I zasadziłem kwiat do przepysznej wazy kwiatowej, wazy z różowego i niebieskiego marmuru, za którą przed kilku dniami ostatnie wydałem pieniądze.

Bo była piękną...

W tem, szlachetnem naczyniu jaśniał mój biały kwiat. Czystą, jak kryształ wodą zwilżałem ziemię pod nim.

Albo siedziałem tuż i nie odwracałem oczu od niego z obawy przed rabunkiem. Czuwałem dzień i noc. Napróżno!:

Nikt i Nic nie ujdzie doli swojej — — —

— — — Jednego dnia — przypominam sobie

BRZEZINA.

Cożby nie miało być? Bedzie.

JAWOR.

Bedzie... Ino trza się zabrać do niego.

BRZEZINA.

Żywo.

JAWOR.

Haj. — Był hań taki Staszek Kawuła na Bielance pod Wesołym Wierchem. He, Boże! o takim toście jeszcze nie słyszeli.

WIKTA.

Któryż to?

JAWOR.

Zje ten, co siedzi w kryminale, w Sączu.

BRZEZINA.

Ehe, chem... Dyć mi nie trza gadać.

JAWOX.

Nie i nie. Nie ożeni — się — powiada. Dobrzy ludzie się znaśli, przycisnęli go grzecnie — ożenił się.

CYPRYAN.

I zabił babe...

JAWOR.

O to chodzi, że się ożenił, a co ta potem zrobił to jego rzec... Lejzuś zasię jest letkiego serca.

WIKTA.

Wezwyczai się.

JAWOR.

Może się i nie wezwyczai, Bóg i Panienka Ludzimierska wiedzą, ale jej nie zabije.

BRZEZINA.

O, co nie, to nie.

JAWOR.

Ino z takim, rzeke — trza przynaglić.

WIKTA.

To już chyba róbcie tak, jako my ugadali. Jedzcież tę kukiełkę...

JAWOR i BRZEZINA.

Bóg zapłać, Bóg zapłać...

JAWOR.

To się kumotrze zbierajmy.

BRZEZINA.

Trza iść...

(Jawor i Brzezina wstają).

WIKTA.

Ja się z nią już przegadała. Lejzuś się jej widzi. Powiecie jej, że on was przysłał...

JAWOR.

No — no! Już ja haw wiem, co gadać.

BRZEZINA.

Bedzie też z nich para!

JAWOR.

Haj, haj. On jak patyczek, ona jak cis! No, z Panem Bogiem ostańcie. Wieczór bedzie odpowiedź.

BRZEZINA.

Z Panem Bogiem, z Panem Bogiem...

WIKTA.

Boże prowadź...

(Jawor i Brzezina wychodzą).

Ostatni utwór *Feliksa Gwiżdża* z życia górali podhalańskich. Dajemy zeń dwie charakterystyczne sceny, jakoby żywcem wykrojone z natury i obyczajów tego dziwnego ludu, który fatalistycznym spokojem w znoszeniu doli i niezrównaną naiwnością najbardziej może na kuli ziemskiej przypomina heroicznych bohaterów Homera. Treścią tych dwóch scen są t zw. „namowiny". Dwóch starych gazdów w roli „namowców" przybywa do chaty młodego wdowca, górala Lejzusia, aby go skłonić do małżeństwa z młodą, krasną góralką, także wdową, Magdą Zimną z Działu Albowiem im się tak widzi, że to małżeństwo musi przyjść do skutku, choćby Lejzuś miał potem b a b ę zabić, jak to uczynił Staszek Kawuła, odsiadujący swoją krewkość w kryminale w Sączu.

całą tę okropność, jakby przed chwilą była się stała, a przecież pomarło już tyle... tyle lat! Jednego dnia zakradł się chytry złodziej pod moje drzwi —

i w moich oczach porwał kwiat,
mój biały, niewinny kwiat — !

Z przerażenia i bezmiernej trwogi rozdarły się szeroko me powieki i zdrętwiały lodem źrenice moje,

skoro ujrzały brudne ręce złodzieja, targające się na moją największą świętość!

I nie byłem w stanie przeszkodzić temu:

skamieniały moje członki, a wola moja była jakoby niemowlę bezsilnie, bełkocące.

Było mi, jakgdybym widział Sakrament uwodzony i bańbiony —

jakobym czekał na stujęzyczny grom, mający w tejże chwili z trzaskiem runąć i w szmaty rozerwać hańbiciela świętości!

Panowała jednak cichość, — gwiżdżąca, ogłuszająca cichość.

Niebo było miękkie jak niebieski aksamit, a słońce rozsiewało swe najczystsze, złote ziarenka po szarej ziemi...

...Powoli długo przychodziłem do siebie —

Pierwsze uczucie, jakiegom doznał, było uczucie dziwnego braku.

Nie w ciele: zdrów byłem wtedy, w tej chwili, i czułem olbrzymie siły w dygotających muszkułach.

Lecz... w najgłębszej duszy!

Wrażenie, jakiego musi doznawać nasienie pozbawione nagle zarodka, kiedy jeno zewnętrzna łupina pozostała, pusta i próżna.

Takie było wrażenie, którem uczuł najpierw, a potem ból!

Potworny ból — —

Potworny, dna nie mający Ból!!

Oglądnąłem się...

Po moim chłodnym, niegościnnym pokoju.

Z kolei padły źrenice na bezkwietną wazę, przed którą wciąż jeszcze siedziałem. W głębi na rozrzuconej, w zeschłe grudki pozlepianej ziemi leżał maleńki, białawy płatek. Wyciągnąłem chciwie ręce: był to płatek z mojego kwiatu — jedyne i ostatnie, co mi zeń pozostało.

Przycisnąłem go do warg i ssałem — ssałem resztę słodyczy.

Jak pijak piłem, aby boleść duszy — uciszyć? nie! — ogłuszyć...

Ssałem i piłem... Zmysły poczęły mi po jednemu mroczniej i znikać, w skroniach kuło i huczało, niby od żelaznych uderzeń, powietrze ze świstem uchodziło z piersi — — nie oddychałem już — —

Wir porwał mnie za włosy i rzucił niby zeschnięty owoc, na ziemię.

Upadłem bez czucia i sił!

Przed osamotnioną, bezkwietną wazą — wazą z różowego i niebieskiego marmuru,

a zakrzywione palce rąk moich poczęły targać i szarpać twardą, dębową podłogę...

H. MAURER.

Trzy rapsody „starosłowiańskie" M. Romanowskiego.

Z mniejszych rozmiarami (lub urywkowych) dzieł epickich M. Romanowskiego, na szczególną uwagę zasługują: *Uczta Geronowa, Gero na Lachach*, tudzież *Mściwój Szalony*. Są to jakoby trzy rozdziały długiej i krwawej opowieści o odwiecznych bojach Słowian z Niemcami — opowieści, której historya do dziś dnia pisać nie ukończyła. Temat ten pociągał najsilniej Poetę w trzech ostatnich latach przed śmiercią i jemu zawdzięcza on kilka bardzo pięknych swoich utworów, mianowicie — oprócz trzech wymienionych — śpiew historyczny p. t. *Śmierć Zyszki*, tragedyę *Popiel i Piast* i fragment tragedyi *Wanda*.

Uczta Geronowa i *Gero na Lachach* opiewają walki Słowian z potężnym margrafem wschodnim Geronem (z wieku X) — walki bronią i zdradą. Bo srogi margraf nie przebierał w środkach i, gdy nie mógł inaczej, lub gdy prędzej i pewniej zdawał się go do celu prowadzić podstęp, chował skrwawiony miecz do pochwy, lica ubierał w uśmiech i w obłudnem przymierzu jeszcze straszniejszy, aniżeli w boju, zadawał cios Słowianom. Raz np., aby zgnieść w zarodzie wielce dla marchii niebezpieczne powstanie Obotrytów, zaprosił trzydziestu najcelniejszych książąt słowiańskich na ucztę i podczas niej wszystkich niemiłosiernie wymordował. — Tę właśnie „sławną" ucztę Geronową opisał Romanowski:

Ucztują kniazie; w sali rośnie gwar,
Coraz weselej od pieśni, od czar,
Coraz serdeczniej; co wychylą dzban,
Podaje świeży – hojny zamku pan.
I zapomniało szczere lackie plemię,
Że chciwy Gero dybie na ich ziemię,
Że krew już płynie u odrzańskich wód –
Taki graf zdziałał gościnnością cud.
A Gero wstaje i woła do sług:
„Niechaj zadzwoni paź w złocisty róg!
A ja ten puhar wznoszę wam, kniaziowie!"
I pełny puhar pił za kniaziów zdrowie.

A gdy pił Gero, paź na rogu grał
Dziko. jak wicher, wyjący wśród skał,
Na ten głos knechty z morderczem żelazem
Wpadli i kniaziów otoczyli razem
I skrępowali sznurami ramiona,
Cięli im gardła i kłóli im łona.

A możny Gero nad trupami stał,
Uśmiech na ustach, w dłoni puhar miał:
„Siądźcie za stołem, wołał, bracia moi!
Gero się buntu wyrżniętych nie boi!"

I wnet ze sali każdy smętny trup
Poszedł za okop, sokołom na łup.
Sokoły niosły wieść na lackie pola,
Że wodzów taka spotkała tu dola. –

Z *Ucztą Geronową* wiąże się *Gero na Lachach* jak najściślej, formalnie i treściowo. Formalne wiązadło spostrzegamy zaraz we wstępie tego wiersza:

Z chaty do chaty leci wieść,
Zachodni wiatr ją począł nieść,
Płacze nią w polach, w możny dwór
Bije nią jako piorun z chmur,
Przeraża panów, rycerzy, kmieci,
Zatrważa starców, matki, dzieci;
Pomordowanych książąt wdowy
Ze snu takiemi budzi słowy:

„O! płaczcie, wdowy! płakać czas;
Niema już komu bronić was!
Niema już komu bronić grodu,
Ni kmiecej strzechy, ni narodu!
Mężowie wasi, wasi kochani,
W domu Gerona pomordowani!"

I zapłakały wdowy wraz:
„Niema już komu bronić nas!"

Materyalnie zaś jest *Gero na Lachach* bezpośrednią kontynuacyą *Uczty* gdyż Poeta uwiecznił w nim karę, jaka okrutnego margrafa spotkała za jego zdradę wobec gości. Gero marzył o udzielnem państwie dla swego rodu, a naprzód dla syna swego, Sygfryda, który był jego dumą i najwyższem na świecie ukochaniem. Tego syna właśnie stracił wnet potem w walce z księciem polańskim, Mieszkiem, podczas wyprawy, przedsięwziętej w celu urzeczywistnienia swoich ambitnych planów. Była to widoczna kara Boża za ową ucztę, bo Sygfrydowi przed wyprawą śnili się pomordowani książęta, wskutek czego nawet odradzał ją usilnie rodzicowi.

W Geronie na Lachach jest kilka miejsc bardzo ładnych. Np. – oprócz przytoczonego wyżej wstępu – miejsce, w którem hufce Geronowe zbierają się na wyprawę przeciw Lachowi:

A gdy na zamek spadła noc,
Stanęła rzędem grafa moc,
Stanęła licznie po rozkazie;
Od stóp do głowy lud w żelazie.
I rżą rumaki biedz gotowe –
Tylko graf Zygfryd spuścił głowę.
W oknie go płacze żona młoda:
Szkoda ma żony, lat mu szkoda.
Lecz Gero skinął, skoczą wraz,
Od setnych kopyt zagrzmiał głaz,
Od okną biała
Chustka powiała...
Powiała może ostatni raz.

Albo obraz nieszczęsnej walki z Mieszkiem:

I stają męże. Gero stawia szyki,
Z borów wychodzą lackie wojowniki;
Oblani zorzą, wznoszą jasną broń,
Piękny, dorodny każdy mąż i koń.
Mieszko ich wiedzie na hufy Gerona –
Przy Mieszku z orłem chorągiew czerwona.

„Naprzód! Sygfrydzie, nie długi tu trud!" –
Zawołał Gero – i już zwarł się lud:
Skruszyli kopie, miecze chwycą wraz,
W tarcze i hełmy wiodą silny raz;
Skruszyli miecze, chwycą za topory –
Szczęk się rozlega przez pola i bory.

„Ojcze! Geronie! ciężka z Lachem gra,
Dzielnie Lach walczy, twarde ramię ma".
„Tem większa sława dla nas, synu mój!
Koronę da nam ten rycerski bój!"

I poskoczyli do boju ochoczo,
Pewni, że z Lachów wszystką krew wytoczą.

I znowu rzecze Sygfryd: „Tu nam kres!"
„Nie! nie! mój synu! Lacha weźmie bies!"
I znowu walczą – lecz w tem pęka szyk:
„Sława Mieszkowi!" – Lachy wznieśli krzyk
I tną Germanów toporami wkoło;
Gero i Sygfryd jeszcze stawią czoło.

Lecz wtem: „Sygfrydzie!" – jęknął graf i zbladł –
Pod ciotem Mieszka młody Sygfryd padł,
Padł z rozłupaną wpół toporem głową
I krwi się oblał strugą purpurową.
O grafie! jakaż boleść ciebie zgina –
Innej purpury chciałeś ty dla syna.

I w drżące ręce syna chwycił graf,
Skoczył do Odry, przebywa ją wpław;
Za nim rycerstwo, knechty skoczą w toń,
Resztę tnie w polu sroga Lachów broń.

Doskonale scharakteryzowana jest postać tego żelaznego „margrafa z łaski Bożej" (jak się sam przezwał Gero), głównego bohatera obu wierszy. Nie zapomniał zwłaszcza Poeta o jego pobożności, która była w nim podobno wielka (według Dytmara) obok wrodzonej dzikości i nienawiści względem Słowian. I dlatego wychodzi z pod jego pióra ogromnie wyraziście ten prototyp Krzyżaków i Bismarcka. Znamienny mianowicie w tym względzie jest czterowiersz, prawie bez zmiany dwa razy w ciągu opowiadania o uczcie Geronowej powtórzony: zaraz po wstępie, streszczającym dawniejsze krwawe czyny Gerona, za które go cesarz Otto I. „poczcił złotym łańcuchem" – i po wymordowaniu na uczcie słowiańskich gości:

I siadł graf Gero w murowanym grodzie
I śpiewał Panu psalmy o zachodzie.
I kazał sobie podać wina dzban
I pił i marzył, jak go podniósł Pan!

Bo niema w tem najmniejszej obłudy — przeciwnie jest głęboka wiara margrafa, że działał sprawiedliwie i że mu sam Bóg w działaniu dopomagał — i stąd uczucie wdzięczności dla Boga za tę pomoc. Pobożność Gerona jest całkiem szczera, więcej nawet — pokorna. Gero nie bluźni po stracie syna, lecz, jak gdyby w niej czuł karzącą rękę Bożą, uchyla przed nią czoła, rzuca myśli o chwale ziemskiej i pokutuje:

A kiedy wrócił, zbroję z siebie zdjął,
Odział się kutą, kij do ręki wziął
I szedł w pielgrzymkę, jak uczynił ślub;
Potem dla syna wymurował grób
I wraz z synową klękał na tym grobie
I płakał rzewnie i złorzeczył sobie.

BOGUSŁAW BUTRYMOWICZ.

Eurypidesa Hippolytos — Fedra

w polskiem odtworzeniu.

HIPPOLYTOS, syn Tezeusa, oczerniony przez daremnie w nim rozmiłowaną macochę, FEDRĘ, musi, klątwą ojcowską wyżenion, pielesz opuścić ojczystą. W drodze ku obczyźnie przekleństwo rodzica spełnia się okropnie. Posłaniec przybywa do pałacu królewskiego w Troidzenie, przynosząc wieści fatalne.

TEZEUS (*do posłańca*):

Lecz jakoż zginął? powiedz! Jakimż mściwa Dika
koszturem poraziła łóż mych pogwałtnika?

POSŁANIEC:

Właśnie podal wybrzeży z morzem igrającej,
konie zgrzebły czyścimy, rzewliwie płaczący,
gdyż już szło strasznej wieści echo i nie cichło,
że swoją pielesz lubą musi żegnać rychło
Hippolyt, klątwą twoją nędznym głoszon zbiegiem:
kiedy on sam się przy nas jawi ponad brzegiem
śród łez i biadań; za nim, w tyle nieco, wierna
rówieśników i druhów drużyna niezmierna.
Zaczem od łez i żalów już niemal bez dusze:
„Przecz", rzecze, „biadam próżno? Ojca słuchać muszę!
Narządźcie wozy, konie w chomonta ubierzcie,
sługi!... Niemasz już dla mnie miejsca w onem mieście".
Na te słowa co-raźniej krzątają się męże
i chybciej nad słów polot gotowe uprzęże
dzielnych biegunów przed paniczem stały.
On zaś odczepia lejce od rydwannej gały,
wsiada i stopy wsuwa w szczelne pudła kluby.
Nasampierw, prężąc dłonie, takie czyni śluby:
„Zgładź mnie, o Zewsie, jeślim zbrodniem ostał doma!
iż mnie zasię pokrzywdził, niech się ociec sroma,
czyli zginę, czy jeszcze patrzeć będę w słońce!"
Tu bicz chwyta i chłoszcze bachmaty parszczące
z krzykiem wielkim. Zaś niżej po bokach rydwanu,
my służebni, przy lejcach towarzyszym panu,
prosto ku Epidauros i ku Argolidzie.
Właśnie na szlak samotny wkraczamy, gdzie idzie
brzeg już poza rubieże troidzeńskiej błoni:
gdy w tem huk jakiś, gdyby grzmot Dyosa z trzew [ziemi,
głuche wycie wkrąg miota. Stajem głusi, niemi...
Łby ku niebu i uszy wytężyły konie,
a nas blady, nieomal dziecięcy strach chłonie,
co wżdy ów łoskot znaczy? Kędy morskie męty
o brzeg chluszczą, tam patrząc, widzim bałwan święty,
górę wód niebosiężną, która w swem roztoczu
Kironicki nam cypel zagarnęła z oczu,
skryła Istmos i skalne Asklepiosa ściany.
Zaczem, pęczniejąc coraz i wkrąg szmaty piany
w morski kipiątek plując, sunie i już sięga
brzegu, kędy się nasza toczy czterosprzęga.
I wraz z wody zatopem trójspiętrzona fala,
potwornego z postaci byka na ląd zwala,
od którego boryku ziemia, jak szeroko,
rozegrzmiała straszliwie. Żadne ludzkie oko
okropnejby nie zniosło widoku potwory.
Okropnie też rumaki strach ugodził skory...
Lecz pan, któremu zgoła wszelka jest wiadoma
pojeżdżań sztuka, wodze porywa rękoma,
by wioślarz za trzon rudla i z całych sił pręży,
ciałem w tył u rzemiennej zwisnąwszy uprzęży.
Lecz konie, gryząc wściekle w stali kute kiełzna,
ponoszą i woźnicy dłoń próżno je chełzna:
nie zważają ni lejców ni wozowych spojni.
Kiedy pan bieg skierował w stronę, gdzie spokojniej
grunt opada, na chwilę stery odzierżywszy,
wnet na przedzie się zjawia ów byk najstraszliwszy,
iż wspak pierzchnęła czwórka w rozszalałym pędzie.
Kiedy zasię na oślep gna na skał krawędzie,
wnet na tyły rydwanu milczkiem buhaj żenie,
łbem godzi, wóz wywraca, obala na wznaki.
Pękniety kół obręcze na skalistej ścienie
I gruzem było wszystko: w jedno oka mgnienie,
skoczyły w górę sprychy, piasty i sworzenie.
On zaś nędzarz, w rzemienne skręty uwikłany,
wlecze się, by u pętli wisząc niestarganej.
Głowa drogą o głazy trze, w pyle się szarga,
ciało w szmaty się szarpie, w uściech straszna skarga:
„Stójcie, u żłobów moich wykarmione źrebce!
nie miażdżcie mnie!... Ach, ojca klątwa... tak mnie depce!
Nikt-li nie bieży w pomoc? Wszak ginie mąż przedni!"
Niestety, słabe stopy, acz chcielim niejedni,
nie nadążyły... Wreszcie rzemiennej uprzęży
sieć pękła, a pan wypadł w tył z okrutnej więzi,
mało-co pono żywy; alić jeszcze dyszy...
Konie śmigły i razem ze strasznem widziadłem
byka, przepadły kędyś w skalistej komyszy...
...Mów panie, zali tu go mamy przynieść z pola?
lub, co czynić z nieszczęsnym rozkaże twa wola?
Rozważ! A jeśli mojej posłuchać chcesz rady:
nad konającym synem lituj się, o włady!

TEZEUS:

Owo go tutaj przynieść!...

Umarł (965) w klasztorze, który w Saksonii wybudował.

Walki jednak Niemców ze Słowianami nie skończyły się z jego śmiercią. Prowadził je w dalszym ciągu Bernard, książę saski, i margrabia północny, Teodoryk. Za Ottona II. do tych walk przeciw Obotrytom wmieszał się dramat miłosny. Mściwój II. młodszy syn Mściwoja Billuga, pokochał piękną synowicę Bernarda Sasa, który obiecał mu ją dać za żonę. Gdy wszakże Mściwój wrócił z Włoch, dokąd wyruszył był na czele tysiąca ludzi z pomocą cesarzowi, odpowiedziano mu. że „pokrewna księcia za psa nie może być wydana". Zawiedziony i obrażony Mściwój przyłączył się ze swymi Obotrytami do wrągego już od dłuższego czasu powstania innych plemion słowiańskich i począł się mścić na Niemcach. Mścił się zaś tak straszliwie, że pamięć tych wszystkich okropności, jakich się dopuścił w walkach przyprawiła go później o szaleństwo (Julian Bartoszewicz: *Historya pierwotna Polski*, t. I. (360—363).

Te wypadki miał przedstawić *Mściwój Szalony* Romanowskiego. Tylko miał, bo jest on tylko fragmentem, doprowadzonym zaledwie do wyjazdu swatów Mściwoja na dwór księcia saskiego. Na nieszczęście. I z obfitości bowiem materyału i ze sposobu, w jaki Poeta zaczął go opracowywać, jest widoczne, że byłby to poemat większych rozmiarów, może największy ze wszystkich przedtem stworzonych. I to największy nie tylko ilością wierszy, lecz także wartością artystyczną. której dowodem jest już napisany początek. Romanowski stanął w nim na takiej wyżynie i poetycznego języka i wiersza i wogóle wszystkiego, co wchodzi w pojęcie formy, że, w związku zwłaszcza z tak wysoce dramatycznym tematem, jakiego dostarczała sama historya, utwór mógł stać się arcydziełem. W *Mściwoju Szalonym* — podobnie zresztą, jak i w dwóch poprzednich utworach — niema już wcale obcych wpływów i jest jedynie przejęcie się duchem starych pieśni słowiańskich, co należy podnieść tylko z uznaniem, jako świadectwo subtelnego odczucia formy w stosunku do tematu. Bo czyż istnieje forma, nadająca się lepiej do śpiewania dawnych bojów słowiańskich od tej, w jakiej ją opiewa *Słowo o pułku Igora* i *Pieśni słowiańskie*? Ten duch starych poematów słowiańskich przenika wszystkie trzy rapsody Romanowskiego: *Ucztę*, *Gerona* i *Mściwoja*. Wszystkie też, jak już wspomniałem, są jakby epizodami jednej wielkiej epopei na tle dawnych bojów Słowian z Niemcami. Ale choć wszystkie trzy bardzo ładne. przecież najładniejszy, najlepszy z nich jest *Mściwój*. Ten na początku (i wogóle w całym pierwszym rozdziale) tak przedziwnie spokojny wiersz dziewięciozgłoskowy i śliczny — język o barwie lekko archaicznej — i ten nastrój całkiem innego świata, jaki się przed nami, jak na zaklęcie czarodziejskie, nagle otwiera — wskutek niezwykle świetnej, mistrzowskiej wprost charakterystyki czasu, miejsca, ludzi i obyczajów!...

Minął rok jeden, drugi minął —
Mściwój nie wraca... kędyś zginął.
Już ptak wiosenny niebem leci,
Już rok po łąkach kwitnie trzeci
I skiby pokrył zasiew jary —
Mściwoja czeka książę stary.
I nieraz, gdy go pośród wiecy
O syna spyta naród kmiecy,
Westchnie głęboko, trosk a głowę:
Czy nie marnieją dnie synowe?
Czy gdzie nie popadł w ręce wrogów?
Czy się nie zaprzał starych bogów?

A w modrzewiowym księcia dworze
Od rannych gwiazd po nocne zorze
Tęskni doń ciężko macierz siwa,
Czeka go siostra urodziwa.
Przed dwór na modrzewiowe półki
Stawiają chleby, miód, gomółki —
Może choć jaki gość się zjawi
I powie, kędy Mściwój bawi?
Co w dali działa? co go trzyma?
Ale gość rzadki — wieści niema.
Toż siwa matka we łzach taje,
Przeklina obce ludy, kraje
I w las dębowy chodzi stary
I bogu piekła nosi dary,
Radegastowi chleby nosi
I zemsty, strasznej zemsty prosi,
O jasne gromy błaga ninie —
Bo Mściwoj przepadł gdzieś w gościnie.

Ale próśb księżnej bóg nie słucha —
Na niebach co dnia cisza głucha.
Chyba zórawie o poranku
Spadną na łąki w borów wianku,
Lub z białych chmurek od dąbrowy
Nadleci ciepły deszcz majowy,
Podobny do łez modrych oczu,
Gdy siostra płacze na uboczu.
Bo choćiaż wiele brat ją smuci
To przecie ufa, że powróci,
I, od gołębic białych bielsza,
Po płaczu bywa najweselsza.
Lub w rówienniczek krasnych kole
Z pieśnią po kwiaty biega w pole
I ściga okiem lot jaskółek
I słucha brzęku młodych pszczółek
I, jakby od nich miała wieści,
Czuje w tęsknocie mniej boleści.

A kiedy księżyc z pełnym blaskiem
Ponad olchowym stanie laskiem
I gwiazdy błysną złotolice:
W książęcym dworcu wieczornice.
Książę na wilczych skórach siada
Posłuchać lir i pieśni dziada;
Zaś po lewicy, po prawicy
Siadają kmiecie, wojownicy
I, jak im serca pieśń urzecze,
Podnoszą dzbany — albo miecze.
A w izbie księżnej w krąg łuczywa
Obsiada ławy czeladź żywa.
Furczą wrzeciona w ręku dziewek
Przy dźwięku dum i rzewnych śpiewek,
A matki z księżną poza stołem
Przeróżne dziwy gwarzą społem,
Przeróżne wieści z blizka, z dala;
W końcu, gdy stos się już dopala,
Ta — owa księżnej z ognia wróży
O dniach Mściwoja i podróży.

I tak dalej i dalej aż do końca rozdziału. Zapewne są wiersze opisowe równie piękne, ale o piękniejszy aniżeli cała pierwsza część *Mściwoja Szalonego* — chyba trudno. Gdyby poemat był skończony i gdyby w dalszym ciągu Romanowskiemu dopisało to natchnienie, w jakiem stworzył początek, to mielibyśmy w *Mściwoju* o jeden więcej klejnot poezyi epicznej, tem cenniejszy, że wynagrodziłby nam poniekąd brak starodawnych bohaterskich pieśni ludowych, takich, jakie mają inne ludy słowiańskie. Rusini zwłaszcza i Serbowie.

„Bajki" Wacława Sieroszewskiego.

Wydawnictwo Spółki wydawniczej „Książka". — Kraków. r. 1911.

Są książki, które się podziwia na chłodno; są inne, które się mniej lub więcej lubi, do których się nawet czasem powraca, ale tylko wtedy, gdy się nic lepszego nie ma do czytania, ani do czynienia; czyta się je powtórnie bez uczucia wstrętu lub nudy, ale też i bez szczególnego pociągu. Są też takie, o których się jakiś czas pamięta, i są, o których się zapomina zaraz po ich przeczytaniu. Są inne, które nierozcięte kładzie „pani domu" na stoliku w salonie gwoli dekoracyi (o ile naturalnie mają oprawę dostatecznie bogatą), albo też wstawia je „pan domu„ do szafy bibliotecznej z mocnem postanowieniem przeczytania ich później, gdy przyjdzie ochota i wolny czas się znajdzie. Wśród tych ostatnich skazanych na salonową bezczynność i bezużyteczność, na butwienie w pyle lub łakomstwo moli, znaleść się mogą nieraz książki nawet dobre, na lepszy los zasługujące. Tych jednak książek, przeciętnie dobrych, wychodzi dziś z pod prasy codziennie tak wiele, że smutny ich los jest nieraz fatalną koniecznością. Procent ludzi czytających nowe książki i umiejących wyłuskać czyste ziarna z pomiędzy plew, jest znikająco mały; większość ludzi czyta z tym samym interesem kryminalne romanse i przygody Scherloka Holmesa, co n. p. „Dzieje grzechu" Żeromskiego. Dla tamtych niewielu poznanie wszystkiego, co jest dziś poznania godnem, byłoby trudem ponad ich czas i siły; dla większości zaś jest to rzeczą zbyteczną, obojętną, a nawet nudną. Więc też dobre książki, zwłaszcza w Polsce, skazane są przeważnie i w najlepszym razie na przyozdabianie bankierskich „salonów", o ile zwróci na nie uwagę t. z. „fachowa" (?) krytyka, w gorszym zaś razie na butwienie po półkach księgarskich i bibliotecznych szafach.

Do żadnego z rodzajów wyżej wymienionych nie należą książki Wacława Sieroszewskiego. Tworzą one raczej wraz niewielu w literaturze świata swój własny, osobny rodzaj książek, których się nie czyta, ale które się przeżywa, a przeżywszy — pamięta raz na zawsze i kocha; do których się powraca często i które się trzyma zawsze w pobliżu, przy sobie, pod ręką.

Właściwie to każda dobra książka, dzieło prawdziwie wielkiego talentu, książka — dzieło sztuki, tworzy dla siebie swój odrębny rodzaj, ma swoje własne indywidualne życie, jest indywidualnością. I tylko taką książkę można kochać, żyć przez chwilę jej życiem, poddawać się jej czarującej suggestyi... I w tem właśnie tkwi tajemnica oddziaływania przemocnego takich książek, jak „Trylogia" H. Sienkiewicza, jak niektóre z powieści Kraszewskiego, Dumasa, Balsaca, Wiktora Hugo, Turgieniewa, Dostojewskiego, Tołstoja, a ze współczesnych — St. Żeromskiego, Rejmonta, Mereżkowskiego i Wacława Sieroszewskiego.

Jedynem zaś źródłem, z którego cieką wiecznie świeże, wiecznie młode i czyste wody tej sztuki wielkiej, jest talent artysty. I można doskonale zanalizować pisarski kunszt poety, można go rozdzielić na drobiny i atomy, można każde jego zdanie, rytm jego słów i rym skwalifikować i nazwać, lecz tem samem nie rozwiązało się jeszcze ostatniej i jedynej zagadki jego twórczości: talentu jego.

*

Nie mogę sobie żadną miarą wyobrazić książek Wacława Sieroszewskiego, stojących sztywnie w wyzłoconych oprawach na bibiotecznych półkach, skazanych na zapomnienie i działanie czasu, pyłu i moli. Zbyt wiele zawartej w nich jest siły, życia, młodości i prawdy, zbyt wiele słońca i powietrza pól i lasów, ludzkiego bólu i ludzkiej radości, zbyt wiele po prostu talentu, ażeby mogło być ich udziałem li bezużyteczne, senne wylegiwanie się na stolikach po banalnych salonach bankierskich lub butwienie po bibliotecznych szafach. Jestem niemal pewny, że byłoby im tam bardzo źle, ciasno i duszno, że rozsadzałyby szafy, i drażniłyby swem istnieniem syte i senne żołądki tych, do którychby domu niefortunnym chyba trafem zbłądziły. Wyszłyby pewnie nocą z tych banalnych, wyzłoconych opraw, blade, a silne postacie, w łachmanach lub jakuckich skórach, w butach z surowego juchtu, postacie z dalekich sybirskich tajg i tundr, męczennicy z więzień i katorg, i tłukłyby się pełne gniewu i wzgardy po lustrzanych posadzkach, po miękich, jedwabnym pluszem okrytych kanapach i szezlongach, biłyby kościstemi, twardemi jak z krzemienia pięściami w błyszczące szyby ogromnych zwierciadeł, a nawet mogłaby im przyjść do głowy ordynana ochota naplucia w pysk któremuś z tych jaśnie wielmożnych gospodarzy...

Nie obawiajmy się jednak tego. Książki Sieroszewskiego czytają przeważnie ci, co je pokochać mogą i umieją; ci co jeszcze kochają prawdę i ludzkość, nawet w Polsce, co łakną powietrza i przestrzeni, i nie tylko dla siebie, ale dla wszystkich ludzi; co tęsknią nie tylko do osobistego szczęścia, ale nawet do boju i trudu, czytają je młodzi.

*

Lecz czas mi wreszcie przejść w szczególności do ostatniej książki W. Sieroszewskiego p. t. „Bajki", która miała być właściwie jedynym celem i tematem mego artykułu. Odbiegłem jednak od mego tematu tylko pozornie. Wszystko bowiem to, co powiedziałem o utworach W. Sieroszewskiego dotąd, dałoby się odnieść i do jego „Bajek", z tem chyba jedynem zastrzeżeniem, że wciąż jeszcze daleki byłbym od wyczerpania tematu, mówiąc chociażby od samego początku o samych tylko „Bajkach".

Indywidualność bowiem artysty, szczerym, wielkim talentem obdarzonego, tak, jak i każde z osobna jego dzieło, będzie zawsze niewyczerpanem i niezgłębionem źródłem dla każdego, kto pić z niego i spoglądać w nie zechce.

Zadziwiającem zaiste i porywającem jest to tchnienie wiecznej młodości, które promieniuje z książek W. Sieroszewskiego! „Bajki" to świeży na tę prawdę dokument. Bogactwo fantazyi i zawsze świeża i młoda wrażliwość na objawy życia i walki w przyrodzie, odkrywcze podróże niestrudzonego poety-podróżnika w tajemnicze dziedziny psychiki zwierzęcej, niezmącona pogoda i humor, mający swe źródło właśnie w owej młodości i niedającej się niczem złamać radości życia, te i inne cechy i zalety, które „Bajkom" Sieroszewskiego przypisać bez zastrzeżeń można, brzmią jałowo i martwo wobec pieniącego się w nich życia i humoru.

Najpiękniejszą z bajek w tomie tym zawartych jest ostatnia p. t. „Dary wiatru północnego", nawskroś oryginalna tak w samym pomyśle, jak i w przepysznem oddaniu tła tatrzańskiego pejzażu. I tu jest W. Sieroszewski tymsanym niezrównanym malarzem przyrody, jakim był w dawniejszych swych powieściach jakuckich lub japońskich, malującym zwłaszcza przedziwnie mocno, a z ogromnym kunsztem i smakiem artystycznym, surowy pejzaż północny, niewdzięczną, chłodną ziemię. z którą boryka się człowiek, usiłujący wyrwać jej krwawą swą pracą skarb, prawo do życia dla siebie i dla tych, których ukochał.

Czesław Wrocki.

D. S. MEREŻKOWSKI.

Michał Anioł.

(Fragment z powieści historycznej)

W głębokiej zadumie wracał Michał Anioł ciememi ulicami Florencyi od Fra Timotea. Poraz setny może odważał na wagach sumienia dylemat: papież, czy turek?... Co lepsze, — papież, czy turek?

— Boże! czyż rzeczywiście niema na ziemi swobody, czyż niema na ziemi takiego miejsca, gdziebym mógł nie służąc nikomu — ni papieżowi, ni turkowi spełniać rolę serca mego i Twoją?

Z ciężkiem westchnieniem wzniósł oczy ku niebu. Niedościgłe odległe obłoki, krągłe, maleńkie, modre, jak masa perłowa jaśniały światłem niewidocznego księżyca: bił od nich wieczny chłód, spokój, swoboda.

— Papież, czy turek? — powtarzał z gorzkim uśmiechem — mnich prawdę mówi: jeden wart drugiego! Czyż to nie wszystko jedno! Swobody, wolności niema, trzeba być niewolnikiem, trzeba cierpieć i znosić upokorzenia.

Przypomniał sobie pobyt swój w Pogibonsi, jakżeto wówczas był dumny, jak odważny! Wystarczyło trzech miesięcy zniewag, drobnych ustępstw dla świata, by uczynić serce jego bezbronnem, by duszę jego pozbawić ostatniej dumy. Czuł się bezsilnym i słabym. Czyż warto było unosić się, wartoż było uciekać z Rzymu, na śmiech się narażać?

Co prędzej wrócił do domu, nie zapalając świecy rozebrał się i legł w pościeli; na głowę nasunął nakrycie. by niczego nie widzieć, nie słyszeć. powtarzając jedno tylko słowo: „nudno, nudno!" Wstręt do życia, do ludzi, do siebie przenikał go do szpiku kości, niby chłód zbliżającej się śmierci. Wysilony, unicestwiony, bez myśli, bez uczuć, bez woli zasnął snem martwym.

Dnia następnego nadeszła trzecia bulla papieska. Gonfalerowi doniesiono o nowych układach Michała Anioła z sułtanem. Więc Soderini zawezwał go do siebie i począł przedkładać i tłómaczyć, że jeśli pojedzie do sułtana, to Juliusz z pewnością wykluczy go z kościoła. Wszak lepiej umrzeć z ręki papieża, niż żyć na dworze turka. Przytem artysta niczego nie powinien się obawiać; ojciec święty przychylnie dość usposobiony; wzywa go do siebie, bo go lubi, a nie dlatego, by zamierzał wyrządzić mu krzywdę. Gdyby się mimo to lękał, to florencka signora skłonna jest dać mu tytuł posła-ambasadore — a to uczyni go nietykalnym.

Michał Anioł odpowiedział, że na wszystko się zgadza i gotów jest wracać do papieża.

W owym czasie Jego Świątobliwość, nie jak pokorny pasterz Chrystusowych owiec, lecz jako rzymski władca, nie zdejmując hełmu i pancerza, nie zsiadając z bojowego konia, pustoszył zamki, miasta i osady nieposłusznych wasali i baronów stolicy świę-

tej, zdobył Perugię i jako tryumfator, wśród okrzyków ludu wjeżdżał w mury Bolognii.

Z tytułem ambasciadore-posła rzeczypospolitej Florenckiej przyjechał tutaj Michał Anioł 15 listopada 1506 roku.

Gonfalonier dał mu list do brata swego, kardynała Soderini.

„Ośmielam się zapewnić was — pisał on między innemi do brata, — że Michał Anioł, to człowiek niezwykły; pierwszy to rzeźbiarz w całej Italii, jeśli nie w całym świecie. Polecamy go Waszej opiece. Uprzejmością i miłością, można z nim zrobić wszystko, co się zapragnie. Tylko należy dać mu poznać, że jest kochanym i cenionym. Pamiętajcie i o tem, że Michał Anioł wraca do papieża, zawierzywszy naszym słowom.

Mimo wszelkich dyplomatycznych uprzejmości Buonarotti według własnego wyrażenia, użytego w jednym ze współczesnych listów — jechał do papieża „z rzemieniem na karku“, t. j. jak pies, którego ciągną przemocą.

Oddał on list kardynałowi Soderini, który chorując wówczas, uniewinniał się, że nie może osobiście pośredniczyć i polecił jednemu z swoich biskupów przemówić parę słów za artystą do papieża.

Rankiem przybył Buonarotti do Bolognii i udał się na mszę św. do katedry.

W drodze spotkali go papiescy koniuszowie i uradowani, poprowadzili przed papieża.

* * *

We spaniałej lecz mrocznej sali pałacu szesnastu (Palazzo di sedici) siedział papież, otoczony rycerstwem i dowódcami, pod tryumfalnym baldachimem z ciemno zielonego aksamitu, na którym lśniły wyszyte złotem dębowe liście i żołędzie herbowe znaki papieskiej rodziny — della Rovere.

Biskup, zaufany kardynała Soderiniego przyjął u drzwi Michała Anioła, a położywszy mu rękę na ramieniu, starał się go uspokoić.

— Jak czujesz się mój synu? Przedewszystkiem nie trać przytomności ducha. Bóg łaskaw, papież dziś świetnie usposobiony. Nie bój się, już my za tobą przemówimy.

Buonarotti spojrzał na biskupa; był to ruchliwy, krągły człowieczek, z usłużnym, lecz odpychającym wyrazem twarzy.

— Najważniejsze, nie tracić przytomności umysłu — powtarzał on gorliwie. — Złóżcie ręce i patrzcie Jego Świątobliwości w oczy. Przybierzcie skromny i pokorny wyraz twarzy...

Biskup poprowadził artystę przed tron papieża. Michał Anioł przyklęknął.

Juliusz spojrzał nań z ukosa i natychmiast odwrócił oczy. Chude palce wpijały się w kościaną rączkę jego strasznej, znanej dobrze laski. W końcu odezwał się on cicho i ponuro:

— In cambio di venir tu a trovar noi, tu hai aspettato he veniamo a trovar te?

(Miasto, byś do nas przyszedł, czekałeś póki my sami nie przyszliśmy do ciebie?)

Jego Świątobliwość chciał przez to zaznaczyć, że Bologna znajduje się bliżej Florencyi, niż Rzym i że w ten sposób on pierwszy przyjechał do Michała Anioła, do Bolognii.

Artysta przemówił poprzednio przygotowanemi słowy, żywo tłómaczył się, zapewniając, że nie miał zamiaru obrazić Jego Świątobliwości. Pozwolił sobie na opuszczenie Rzymu w przekonaniu, że już niepotrzebny papieżowi

Juliusz nie odpowiadał i siedział zwiesiwszy głowę. Na twarzy jego znać było gniew, brwi nachmurzył, a kąty silnie zwartych ust, starczej, a zapadłej twarzy, drgały nerwowym skurczem.

Usłużny biskup, sądząc, że nadeszła pora przemówić za rzeźbiarzem i że w przeciwnym razie sprawa mogłaby się skończyć niemiło dla Buonarottiego, wśród złowieszczego milczenia odezwał się swym żałobnym, nieprzyjemnym głosem:

— Wasza Świątobliwość, przebaczcie nieszczęsnemu, raczcie nie gniewać się na niego. Taki to już naród wszyscy artyści, czegóż można od nich wymagać, tożto ludzie bez wiedzy, niewykształceni, niczego nie znają prócz swego rzemiosła.

— Błaźnie — krzyknął papież głosem tak silnym, że pod biskupem zadrżały nogi ze strachu, — mówisz do niego zuchwalstwa, jakich nawet mybyśmy mu nie powiedzieli. Nieukiem jesteś ty, nie on. W małym palcu tego człowieka jest więcej rozumu niż w twojej głowie. Wynoś mi się do dyabła.

I z gniewem zamierzył się na biskupa, który stał więcej martwy, jak żywy.

Koniuszowie, służba i ci co stali najbliżej otoczyli go, pchali i posuwali zrazu delikatnie, ciągnąc za łokcie, następnie już bez ceremonii, lokajskimi pchnięciami“, według wyrażenia Michała Anioła, który później dość często opowiadał o tem przyjaciołom, wyrzucili go za drzwi.

Gniew swój wyładował papież na biskupa. Wszyscy odetchnęli swobodniej. Juliusz rozkazał artyście zbliżyć się, podniósł go z miłością i udzielił błogosławieństwa.

— Dziwak — mówił papież, a uśmiech zjawił się mu na ustach. — Czegożeś się obawiał? Czyś myślał, że cię zjem, czy co?...

Następnie twarz jego stała się poważną, nachylił się i szepnął mu do ucha szybko i cicho tak, by otaczający nie mogli usłyszeć:

— Nie wierz oszczercom, podobnie, jak ja nie wierzę i pamiętaj — Buonarotti — że chociażbyś najdłużej żył, nie znajdziesz drugiego człowieka, któryby cię tak kochał jak ja.

To mówiąc, objął go, ucałował w głowę i obaj odczuli, że jeden drugiego rozumie.

Tłóm. *W. Sokołowski.*

T. BATYŻOWIECKI.

Gwiazda zaranna.

(Stornelle.)

Hosanna! śpiewa
ci gwiazd kroplami pluszcząca fontanna
i ptak błękitny z Wyzwolenia drzewa
śpiewa-ć — Hosanna

Wyjętą perłę w dal uniosła mewa:
na brzegu leży pusta — muszla szklanna

O, moja święta!...
Niegdyś, jak kwiaty chorego powoja,
wokół jej szyi kwitły twe rączęta...

O, święta moja!
Jedną mi falę, co jeszcze pamięta
Sen Życia — poślij z świetlanego Zdroja!

